Rok I. Nr. 4. Kraków, 15. listopada 1919 r. Cena egz. 2 K. (mr. 1·40)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 12·— (mrk. 8·—), półrocznie K. 24·— (mrk. 16·—), rocznie K. 48·— (mrk. 32·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Karmelicka 16. Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Biuro wydawnictw i ogłoszeń „Krakus" Kraków, ul. Felicyanek 3.



Koniec ziemi 17-go grudnia

(do tekstu na str. 2-ej).

Do naszych Czytelników.

„Życie i Powieść" pomimo krótkiego czasu swego istnienia zdołało już wyrobić sobie sympatyę i uznanie wśród szerokich sfer Publiczności.

Do redakcyi pisma naszego napływają codziennie dziesiątki listów, w których Czytelnicy wyrażają nam swe żywe zainteresowanie i życzenia jak najpomyślniejszego rozwoju. Cieszy nas niezmiernie to zaufanie, ten bezpośredni kontakt, jaki już po wydaniu kilku numerów udało się nam zadzierżgnąć pomiędzy redakcyą a Czytelnikami. Będziemy starali się o ile sił możności kroczyć wytrwale w raz obranym kierunku, dostarczania zajmującej i moralnie zdrowej lektury. W miarę rozwoju pisma, w miarę pokonywania trudności z jakiemi walczyć musi każde młode wydawnictwo zwławszcza w obecnych ciężkich warunkach — rozszerzone zostaną ramy „Życia i Powieści", udoskonalony będzie zarówno dział powieściowy jak illustracyjny.

Ponadto Redakcya „Życia i Powieści" przygotowuje

cały szereg cennych premii dla stałych Prenumeratorów.

* * *

Szanowni Czytelnicy zechcą nam wybaczyć jeżeli przy wysyłce 3-go numeru naszego pisma zaszło pewne opóźnienie, albowiem spowodowane to zostało masowym napływem nowych prenumeratorów z rozmaitych stron kraju. Obecnie ekspedycya „Życia i Powieści" odbywa się jak największą punktualnością i dokładnością, jeżeli giną czasem numery, to nie jest już naszą winą, lecz poczty i w takich wypadkach należy reklamować natychmiast.

Wydawnictwo

„Życia i Powieści".

Jan Migo.

(Z pośmiertnej spuścizny).

Pierwszy śnieg.

Pierwszy śnieg... Szatą bieluchną
świat okrywa wszerz i wzdłuż...
Pierwszy śnieg... — ptaszęta głuchną
i ludzie szepcą: zima już!...
Pierwszy śnieg—przypomnień słowa,
że zwiędły kwiaty, zbrakło róż!...
Pierwszy śnieg..., a wiosna nowa
nie wszystkim kwiecie rzuci już...

Koniec ziemi 17-go grudnia.

(do illustracyi tytułowej)

Sensacyjne rewelacye kalifornijskiego „astronoma". Niebezpieczne ugrupowania sześciu wielkich gwiazd. Kataklizmy geologiczne i atmosferyczne? Czy koniec ziemi? Opinia polskiego uczonego. Rewelacye o katastrofie niebieskiej wymysłem maniaka.

Całą prasę europejską obiegły w ostatnich dniach senzacyjne rewelacye rzekomego astronoma kalifornijskiego, Porty o kataklizmach, jakie mają nawiedzić naszą planetę

w dniach 17—20 grudnia b. r.

Uczony ów, który zasłynął już jakoby z szeregu udatnych proroctw co do różnych atmosferycznych zjawisk, doszedł podobno na podstawie gruntownych obserwacyj do wniosku, iż wskutek osobliwego ugrupowania 6-ciu wielkich gwiazd nastąpi w wyżej wspomnianym okresie szereg zaburzeń, jak wstrząśnienia wewnętrzne ziemi, huragany połączone z oberwaniem chmur i t. p. W krajach o podkładzie wulkanicznym mają nastąpic wybuchy wulkanów, gdzieindziej znów ogromne tajfuny lub cyklony. Według tych enuncyacyi wskutek wybuchu gazów na słońcu da się tam zauważyć dostrzegala nawet gołem okiem wyrwa w formie ciemnej plamy, której rzeczywista wielkość mogłaby pochłonąć całą kulę ziemską.

Planety, mające w dniu 17 grudnia wywrzeć tak potężny wpływ na słońce, iż spowodują owo kosmiczne nieporozumienie, to — zdaniem p. Porty — Merkury, Mars, Wenus, Saturn i Neptun.

W opozycyi do tych sześciu znajdzie się Uranus, będący wtenczas po drugiej stronie kuli słonecznej.

Porta, reasumując to, woła do ludzkości:

Bądźcie ostrożni!"

i przypomina datę katastrofy, nie podając jednakże bynajmniej, w jaki sposób ostrożność tę możnaby zachować i od katastrofy się zabezpieczyć.

Senzacyjna ta enuncyacya, mająca już na pierwszy rzut oka znamiona dziennikarskiego humbugu, wzbudziła, — mimo wszystko — wielkie zainteresowanie wśród głodnej zawsze emocyi publiczności całej Europy. — Warto więc poznać opinię w tej kwestyi jednej z najwybitniejszych powag astronomicznych, prodziekana wydziału filozoficznego na Wszechnicy lwowskiej, prof. Ernsta.

Otóż prof. Ernst oświadczył, że całe proroctwo p. Porty, którego zresztą nazwisko jako astronoma jest mu zupełnie nieznane — naukowo przedstawia się jako nonsens, gdyż przepowiednie pogody na taką odległość nie dadzą się poważnie ugruntować. Wszelkie horoskopy, brane poważnie, sięgają najwyżej o jakie dwa, trzy dni naprzód, a i w tym wypadku dają tylko prawdopodobieństwo, a nie pewność, gdyż zaledwie 80% tych przepowiedni spełnia się.

Typowym dowodem niefachowości i ignorancyi rzekomego astronoma kalifornijskiego jest zdanie o eksplozyi na słońcu, której następstwem miałby być otwór wielkości ziemi, powodujący sobą obniżenie temperatury na naszej planecie. Bezustanku bowiem dokonują się na kuli słonecznej wybuchy, tworzące leje, mogące pochłonąć nie jedną, ale tysiące takich brył, jak nasza ziemia, nie wpływając wcale tak znacznie na zmiany naszej temperatury.

Jak widać z tej opinii znakomitego uczonego, pogłoski o katastrofie niebieskiej można zaliczyć do rzędu humbugów w rodzaju węża morskiego itp.

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

(Dalszy ciąg).

— Cóż takiego?

— Tam — Reginald Grey!... Właśnie jego automobil odjechał i Regie uchodzi!...

— Spotkał się z Percy Bridggerem... Ten tutaj także wynajął lokal...

— Kto? Reginald?

— Ależ nie, głuptasku!... Oczywiście, że Percy. Patrz potrząsa z wahaniem głową i spogląda na zegarek.

— Daisy, uważaj! Oni mogą spostrzedz, że ty ich obserwujesz!...

— Jesteśmy przecież na ulicy!... Popatrzno, jaką Percy robi przerażoną minę i wchodzi z Reginaldem z powrotem do bramy. Widocznie jakiś ważny interes!... Założyłabym się, że to chodzi o Alicyę Irving!...

— Hm! — mruknęła Irma — Percy jest adwokatem i to bardzo sprytnym, zwłaszcza w niektórych sprawach.

— Irmo! co przez to rozumiesz?

— To, co p. powiedziałam... Ale dość tego gadania! Spieszmy się, Daisy, bo nie załatwimy naszych sprawunków.

ROZDZIAŁ IV.

Gdzie blizna?

Percy wpuścił Reginalda pierwszego do mieszkania, poczem zamknął drzwi za sobą, podniósł żaluzye, także ulewa blasków słonecznych wdarła się przez szyby do pokoju, przysunął gościowi fotel i sam siadając przy nim na krześle, rzekł:

— Siadaj, przyjacielu i mów, co za troski się gnębią... Cóż się stało? Wszakże wczoraj wieczorem jeszcze byłeś tak swobodny i wesoły?

— Tak, ale to, to było wczoraj Percy. Od tego czasu zaszła wielka, wstrząsająca zmiana... Nieokreślone przeczucie, niejasna wątpliwość, zmieniła się nagle w pewność...

Urwał i przez chwilę spoglądał w rozumne, bystre oczy przyjaciela. Wreszcie po chwili wykrzyknął:

— Percy, ty jesteś jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który wysłuchawszy tego, co mam do powiedzenia — nie uzna mnie z miejsca za waryata!

Twarz młodego adwokata przybrała wyraz stroskany.

— Nie, Regie — pospieszył zapewnić przyjaciela, cokolwiek bym usłyszał z pewnością tego nie powiem... Mów więc śmiało i otwarcie.

— Percy, ty wiesz, czem Alicya Irwing była i jest dotychczas dla mnie?

— Ależ oczywiście!

— I jak jej tajemnicze zniknięcie wstrząsnęło mną.

— Naturalnie.

— Wiesz, jaką radością napełniła mnie pierwsza wiadomość od niej... A kiedy wróciła, myślałem, że i moje szczęście wróciło...

— Jak jest, wiem o tem dobrze.

— Percy — pamiętaj, żeś obiecał nie uważać moich słów za bredzenia waryata — o n a n i e w r ó c i ł a!

Twarz adwokata nie drgnęła nawet. Spokojnie palącego cygara słuchał.

— Wytłomacz się jaśniej — rzekł

— Nie ma wytłomaczenia! A jednak to fakt, Percy!... Ta dziewczyna, która przed czternastu dniami weszła do domu Jamesa Irvinga — ta dziewczyna z włosami, twarzą, postacią i głosem Alicyi, nazywająca się Alicyą Irving — t o n i e m o j a A l i c y a, to nie istota, którą ja zbyt dobrze znam, aby mnie podobieństwo choćby najbardziej nawet łudzące, omylić mogło...

— Mów dalej, proszę — zachęcał Reginalda Percy ze spokojem, który dziwnie łagodząco działał na wzbudzonego młodzieńca.

Ręce Reginalda Greya dotychczas kurczowo ściskające poręcz fotelu, opadły zwolna na kolana.

Odetchnął głęboko i po chwili ciągnął dalej:

— Pozwól mi naprzód zebrać myśli. Aby rzec prawdę, sam nie wiem w jakie mam słowa ubrać moje wrażenia... Jak sobie może przypominasz, byłem tam wtedy — stary Irving zawezwał mnie — kiedy ona przybyła... Nie znaliśmy dokładnie godziny, bo w liście było tylko tyle powiedziane: po zachodzie słońca, a przed świtem... O godz. 10-tej Irving kazał całej służbie iść spać... czuwał tylko stary, wierny John... Gdy ozwał się dzwonek — Percy powiadam ci, ten stary, twardy człowiek, drżał wtedy, jak liść na wietrze. — „Grey, otwórz jej drzwi" — rzekł. Wybiegłem. Otworzywszy drzwi, ujrzałem ją na schodach... „Alicyo", krzyknąłem i porwałem z uniesieniem jej ręce... Gęsta woalka zasłaniała jej rysy, nie mogłem więc śledzić wyrazu twarzy, ale wyczułem, że drży na całem ciele... Nagle zdało mi się, że wykonała ruch taki, jakby się chciała ode mnie odsunąć. Po chwili szepnęła: „Regie! jestem straszliwie zdenerwowana i tak mi się mąci w głowie... To wszystko było tak straszne".

Z ojcem przywitała się również dosyć chłodno, ale to mnie nie zdziwiło, bo Alicya mało z nim przebywała razem, a zresztą stary Irwing — to zimny, surowy człowiek.

— Prawda, że zimny i surowy... — przynajmnicj powierzchownie.

Potem przyszła ciotka i zabrała ją ze sobą... Ja pożegnałem wkrótce starego Irvinga, a ponieważ noc była ciepła i jasna, udałem się piechotą do klubu. Kiedy znalazłem się na ulicy — usiłowałem zoryentować się w moich własnych uczuciach... Wszak powinien był czuć się uszczęśliwionym, a tymczasem opanowało mnie coś, co raczej zawód i przestrach, aniżeli radość przypominało... Wkońcu zacząłem przypuszczać, że biedna dziewczyna, wskutek poniesionych cierpień i ciągłych obaw przeżytych, straciła swoją dawną wesołość i energię.

— No tego, to już u Alicyi Irving, wyobrazić sobie nie mogę.

— Nie prawdaż? Następnego dnia rano widziałem się z nią przez krótką chwilę i to w towarzystwie jej ciotki. Alicya mówiła bardzo mało... Była blada i zdenerwowana...

— Wiesz, że to do Alicyi wcale nie podobne.

— Masz racyę. Potem ona zachorowała. Choroba trwała osiem dni. Kiedy Alicya podniosła się z łóżka, zapytałem ją, porozumiawszy się uprzednio, z jej ojcem, — czy zgadza się na to, abyśmy oficyalnie ogłosili nasze zaręczyny... Próbowała mnie z początku zbyć żartami, ponieważ jednak nalegałem, poprosiła mnie wkońcu, abym jej zostawił jeszcze trochę czasu, albowiem czuje się na razie zbyt silnie zdenerwowaną. Przystałem na tę zwłokę.

— To się rozumie samo przez się...

— Widywałem się potem codziennie z Alicyą. Wygląd jej z każdym dniem stawał się zdrowszy, skarżyła się jednak na osłabienie pamięci w połączeniu z lekkimi zawrotami głowy i bólami w okolicy oczu.

— Hm... nadwyrężenie systemu nerwowego z powodu zbyt silnych emocyi...

— Zapewne... lecz to nie wszystko jeszcze. Musisz uprzytomnić to sobie, jak ja często w ostatnich dwóch latach przebywałem razem z Alicyą... Stosunek nasz wzajemny był poufały i swobodny... Ach! nie umiem tego dość ściśle ująć, ale ja n i e o d n a j-



— Percy — pamiętaj, żeś obiecał nie uważać moich słów za bredzenie waryata — ona nie wróciła!...

dują teraz rozmaitych drobnych przyzwyczajeń, ruchów, ulubionych powiedzeń. A przedewszystkiem to jakieś dziwne przeczucie!... Nawet wówczas, kiedy ona najpodobniejszą jest do Alicyi, czuję, że to nie jest ta dziewczyna, którą znałem i kochałem!... To nie moja Alicya — to jakaś obca kobieta, to dziewczyna, która przybrała jej twarz i postać, ale nie ma jej duszy!... Alicya była żywa, otwarta, impulsywna, serdeczna!... Ta dziewczyna z jej twarzą usiłuje ją naśladować, ale jej się to nie udaje!... A zresztą, ja mam teraz pewność!...

— Pewność?! w jakiż sposób zdobyć ją mogłeś?

— Posłuchaj!... Wszystko to, co ci powiedziałem, to były drobnostki, które wywoływały wprawdzie niepokój i zwątpienie, ale mogły być zawodne... Od dwóch jednak godzin posiadam dowód!...

— Dowód?! Co mówisz, Regie?!...

Reginald Grey wyprostował się jak struna. Policzki jego płonęły czerwonym rumieńcem, oczy błyszczały, ręka kurczowo ściskała poręcz fotelu.

— Tak, dowód!... — zawołał. — Niewiem, gdzie teraz przebywa Alicya Irving... Oby ją Bóg zachował w zdrowiu i strzegł od niebezpieczeństwa!... Ale wiem, gdzie nie przebywa! Kobieta, która odgrywa rolę Alicyi, nie jest Alicyą, to wiem już napewno!...

— Czy możesz i innych także o tem przekonać?

— Słuchaj i osądź!... Percy! czyś ty zauważył kiedykolwiek bliznę na przedramieniu Alicyi... Mała, okrągła blizna, wielkości paznokcia na małym palcu. Ponieważ blizna znajduje się na zgięciu łokcia i jest zupełnie biała, więc spostrzega się ją dopiero wtedy, kiedy ręka jest wyprężona.

Percy skinął potakująco głową.

— Tak jest, widziałem nieraz tę bliznę... Alicya musi ją mieć od lat dziecinnych...

— Od lat dziecinnych aż do końca życia musi mieć tę bliznę!... Blizna nie znika... Percy!... dzisiaj jedliśmy razem śniadanie w hotelu Walldorfa, pomagałem jej zdejmować rękawiczkę i zobaczyłem ramię bez blizny!... Ramię gładkie, bez żadnej skazy! I od tej chwili wiem, że to nie ona... Percy!... Na Boga!... ja rozum tracę?! Co to wszystko znaczy?!

Zapanowała długa chwila ciszy. Grey nerwowym szybkim krokiem jął chodzić po pokoju. Młody adwokat siedział spokojnie z napół przymkniętemi oczyma.

Wreszcie Reginald przerwał swą przechadzkę i przystanął przed przyjacielem.

(C. d. n.).

Czego się prezydent Poincare nauczył od swego psa.

Prezydent republiki francuskiej Poincare zdobył sobie wprawdzie tytuł „zwycięskiego" prezydenta, ale stracił w czasie wojny trzy czwarte swej bujnej dawniej czupryny i 10 kilo na wadze. Co prawda schudnięcie owo było dobrowolne, a pobudkę do tej kuracyi odtłuszczającej dał prezydentowi przykład jego... ulubionego pieska. Deputowany Paweł Meunier, jak podaje pismo „Cri de Paris", posłał pani Poincare wspaniały kosz kwiatów, wśród których ukryty był mały, śliczny piesek. Prezydent i jego małżonka tak odżywiali i pieścili ładne zwierzątko, że ostatecznie piesek zachorował z powodu nadmiernej otyłości. Wezwany weterynarz skonstatował, że piesek jadł za dużo i zarządził ścisłą dyetę z tem zastrzeżeniem, że piesek nie może ważyć więcej, niż dwa kilo. Zarządzenie lekarza wypełniono ze skutkiem bardzo pomyślnym, bo zwierzę wkrótce odzyskało zgrabny kształt, zdrowie i wesołość. Widząc taki dobry wynik odtłuszczającej kuracyi, prezydent Poincare — postanowił spróbować tejsamej metody dyetetycznej, zwłaszcza, że w ostatnich czasach czuł się jakoś nienajlepiej. Poddał się tedy ścisłej dyecie, ograniczył spożywanie mięsa i chleba do minimum i co rano uprawiał przez 15 minut szwedzką gimnastykę. W niedługim czasie prezydent stracił na wadze 10 kilogramów, co wielce dodatnio odbiło się na jego ogólnym stanie zdrowotnym.

STANISŁAW ZDZIARSKI.

W ZŁOCIE JESIENI.

Hymn lasów wskrzesił mrące marzeń tęcze
I myśl zawrócił na wichrowy szlak,
Że pofrunęła na skalne przełęcze,
Jak wracający do rodnych strzech ptak
I wzięła z regli złocistą słoneczność
Szczęścia bez miary, co dziś jest, jak wieczność.

Cud się stał... Późną nam upojeń wiosnę
Pośród jaskrami mieniących się łąk
I pocałunków nektary miłosne
I dreszcz rozkoszy zawrotny, co wkrąg
Ciał oszalałych tak kłębi się zniczem,
Że bez miłości twej świat — byłby niczem.

Jak cudnie mdleją oczu ametysty,
Gdy na nie padnie warg spragnionych żar,
Że ust dziewczęcych twych stygmat przeczysty
Chciałby w nie zakląć pocałunków czar,
Iżby pozostał wyryty wieczyście,
Póki z szelestem nie zaczną mrzeć liście.

Gdy opalowy zejdzie krąg miesiąca
Chciwie w twych włosów mroki nurzam twarz,
Bo jak pochodnia, jesteś gorejąca
U wrót rozkoszy na bezsenną straż,
Która noc długą aż do świtu pała,
Bym się białego sycił krasą ciała.

Tyś jest niewinnych fiołków aromatem,
Pierwszej rozkoszy wszechtworzący cud,
Tyś nowem życiem i życia skrzydlatem
Natchnieniem, którem do mej chaty zwiódł:
Płoń się więc łuną, nie światłem zwodniczem
Gwiazd spadających — bądź mi harfą — zniczem!

Przyjdzie czas... Kiedyś znów w złocie jesieni
Opuścisz izby mej bielonej próg,
Będziem osobno iść wśród kęp złocieni
Aż do rozstajnych naszych życia dróg,
Ale w mej chacie na zimę zostanie
Twoje, jak błękit cudne, miłowanie.

Tajemnice życia pozagrobowego.

Spełnione przyrzeczenie.

Od jednego z naszych czytelników p. M. T. z Rzeszowa, otrzymujemy list następujący:

„Przeczytawszy w szanownem piśmie opis niesłychanie interesującej przygody księdza M., postanowiłem i ja opowiedzieć fakt, stwierdzający istnienie życia pozagrobowego, a podany do mej wiadomości przez żonę dyrektora szkoły, osobę poważną i wiarygodną.

Oto, co opowiedziała mi owa pani: „Mąż mój nieboszczyk, żył w serdecznej przyjaźni z miejscowym proboszczem. Podczas wieczoru przy kolacyi, kiedy temat rozmowy zdawał się być już wyczerpanym, zeszli na temat życia pozagrobowego. Po wymianie kilku słów, proboszcz w przystępie dobrego humoru, rzekł do męża: „Dajmy sobie nawzajem słowo i solenne przyrzeczenie, że który z nas najpierw umrze, będzie miał obowiązek po śmierci odwiedzić drugiego". Naturalnie, że obie strony zgodziły się, pieczętując ową zgodę podaniem ręki.

W jakiś już mi nie pamiętny czas, później zdarzyło się, iż proboszcz zachorował i po nie długich cierpieniach, przeniósł się do wieczności.

Mąż mój bolał strasznie z powodu utraty serdecznego przyjaciela, lecz wkońcu pogodził się ze smutną rzeczywistością i o danem przyrzeczeniu mu przez proboszcza, zapomniał w zupełności.

Było to pamiętam, jak dzisiaj z wiosną, w samo południe, kiedy ja z mężem i dziećmi siedzimy przy obiedzie, naraz otwierają się drzwi i wchodzi do pokoju zmarły niedawno proboszcz i w te do męża odezwał się słowa: „Przyszedłem ci powiedzieć, żebyś nigdy niczego nie przyrzekał, — ledwie uprosiłem zezwolenie, bym mógł danego słowa dotrzymać", — to powiedziawszy, wyszedł. Mąż był ogromnie przerażony, a ja wraz z dziećmi niezmiernie, zdziwiona, widząc tylko otwieranie i zamykanie drzwi, a słów wyrzeczonych wcale nie słyszeliśmy, ani też osoby nie widzieliśmy. Dopiero później, mąż mi objaśnił, że widział zmarłego proboszcza i słyszał wyrzeczone do niego powyższe słowa przestrogi.

Wizyta ta jednak skończyła się fatalnie. Mąż z przerażenia śmiertelnie zachorował, a w tydzień później, odprowadziliśmy go na wieczny spoczynek".

Człowiek z ruchomym nosem.

Przed dwoma laty na klinikę chirurgiczną w Pradze zgłosił się pewien mężczyzna, który z powodu nieostrożnego strzału został pozbawiony nosa i prosił, aby jakoś zaradzić temu przykremu brakowi. Życzeniu jego uczyniono zadość w ten sposób, że wyciąwszy mu kawałek skóry z czoła wraz z podskórną tkanką, transplantowano ten płat skóry na miejsce nosa. Kiedy się to wszystko zabliźniło, pacyent ów znalazł się nowu w posiadaniu nosa. Co prawda brzydszego niż dawniejszy, ale ostatecznie lepszy rydz niż nic. Po kilku tygodniach pacyent zjawił się po raz wtóry na klinice. Nowy nos był trochę zbyt gruby i porządnie niezgrabny, ale to drobnostka jeszcze wobec tego, że wykazywał on właściwość, jakiej normalne nosy nie posiadają, mianowicie właściciel mógł nim poruszać dowolnie, podosić go w górę, tak, jak tapir podnosi swą trąbę. Widok ten wywoływał wielce humorystyczne wrażenie, powodując wybuch śmiechu u obecnych.

Jest to wypadek lekarsko niezmiernie z tego powodu ciekawy, że chodzi tutaj o udaną, choć mimowolną transplantacyę części mięśnia. Razem ze skórą przyprawiono kawałek mięśnia, podnoszącego czoło. Zwykle taki transplantowany mięsień zamiera, zamieniając się stopniowo w tkankę łączną, tym razem jednak dziwnym trafem zakończenia nerwów wzrosły w tkankę mięsną, co umożliwiło poruszanie się mięśnia.

Zatem ów mężczyzna będzie jedynym na świecie człowiekiem, który posiada ruchomy nos.

Chorąży.

(Ze wspomnień listopadowych).

Zjechał coś na parę tygodni przed wojną do Paryża. Pamiętam go, kiedy w sali Stowarzyszenia inżynierów uzbrojony w pliki dokumentów, tłumaczył Francuzom sprawę przemysłu nafciarskiego w Galicyi, gdy przekonywał ich do bogactw ziemi polskiej, a zachęcał do podania ręki sarmackiej inicyatywie.

Był to mężczyzna dorodny, zbudowany na schwał. Twarz miał pociągłą, nos równy, usta po męsku zacięte, skronie mocno siwizną wysrebrzone. W ruchach, w sposobie zachowania się znać było w nim człowieka światowego. — Mówił potoczyście, ze swadą, z wiarą w swe obywatelskie posłannictwo.

Francuzi dali się przekonać. Zadzierzgnięto układy. Lada tydzień, lada dzień może pomyślna miała zapaść decyzya.

Wybuchła wojna. Gromada polskiej młodzieży sokolej, przebywającej na ziemi francuskiej, opowiedziała się przy trójkolorowym sztandarze, oświadczając bez żadnych innych politycznych kalkulacyj, że Niemca prać to polska rzecz.

I oto zaledwie otwarto biuro werbunkowe przyszłej organizacyi komitetu wolontaryuszów polskich do armii francuskiej, już stawił się i oświadczył krótko:

— Jestem sokołem. Idę z wami.

— W pańskim wieku?

— Nic; wytrzymam.

Ochotnicy nasi musieli czekać prawie cały miesiąc, zanim ukończenie mobilizacyi pozwoli władzom wojskowym zająć się ich formowaniem. Przez cały miesiąc przeto trzeba było utrzymywać między nimi porządek, potrzebującym dawać zaopatrzenie i czuwać nad duchem bohaterskiej gromady. Na szczęście był między nimi on, który, taksamo jak inni, zrozumiał, że wśród zamętu samemu należy władzę brać i ją sprawować.

Jakoż on zainicyował prowadzenie ćwiczeń wojskowych — otrzaskanie z grubsza młodzieży naszej z wojskowymi zwrotami, z karabinem, z komendą. On prowadził kontrolę, on wydzielał bony obiadowe, on na każde utyskiwanie, na skargi lub niezadowolenia miał zawsze uśmiech pogodny, pełen animuszu koncept, którym najniesforniejszych rozbrajał.

Aż kiedy nadszedł pamiętny dzień dwudziestego dziewiątego sierpnia, kiedy to pierwszy oddział miał ruszyć kolumną do Inwalidów, aby tam dokonać zapisów i przejść przez rewizyę komisyi lekarskiej, wówczas on, z centymowych składek, ufundował sobie polski sztandarek i poszedł z nim na czele.

Lekarze wykryli jednak kontrabandę pięćdziesięciu i trzech lat. I nastąpił pamiętny dyalog, który był obiegł całą prasę francuską.

— Ile lat?

— Czterdzieści.

— To nie może być! Jaki jest pański zawód?

— Jestem wyrobnikiem.

— Jakto, co pan mówi? A pańskie ręce?

— Więc, jeżeli się panu podoba, jestem inżynierem. Lecz to do rzeczy nie należy, jestem Polakiem, a ponieważ nie mogę służyć Polsce, więc chcę służyć Francyi.

Na drugi dzień ustawiła się znów pierwsza kolumna ochotników polskich. Szła przez Paryż na stacyę ładunkową, kędy czekały na nią gotowe pociągi. Pan inżynier szedł na czele kolumny ze swoim bawełnianym sztandarkiem. W czarnym długim żakiecie,

Kształt nosa i fryzura.

Pewne wielkie czasopismo angielskie, stwierdziło za pośrednictwem całego szeregu artykułów znawców i odpowiedzi na rozpisaną ankietę, że nos i fryzura pozostają w bardzo ścisłej zależności od siebie. Jest to fakt, na który już nieraz wskazywali fizyognomiści, a psychologowie mody udowadniali, że każdy szczegół stroju damskiego, począwszy od kapelusza, a skończywszy na podwiązce zawisły jest od kształtu nosa, jeżeli w toalecie ma być zachowana harmonia i estetyczna linia.

Kobieta, której zależy na prawdziwie estetycznym wyglądzie — nie może nigdy zapominać, co przystoi jej nosowi? Albowiem niestety niesprawiedliwa matka-natura nie wszystkim kobietom dała ładne nosy... Nie jest to jednak jeszcze powód do rozpaczy, ponieważ istnieje sposób do pokrycia tego defektu piękności. Mianowicie odpowiednie uczesanie — zatem sposób łatwy i tani.

Owo czasopismo angielskie podaje, że prosty nos najlepiej uwydatnia się przy fryzurze nizkiej i lekko sfalowanych włosach. Dla nosów grubych, najodpowiedniejsze jest uczesanie bardzo skromno, gładkie... Mały, ostro zarysowany nosek, wymaga uczesania wysokiego, t. zw. fryzury Junony. Posiadaczka nosa zadartego — powinna się czesać płasko, rozdzielając włosy w środku głowy i zasłaniając uszy całkiem lub do połowy.

Zatem, niechże żadna z pań, której organowi powonienia można wytknąć brak klasycznych linii, nie martwi się z tego powodu, ale wystudyowawszy w lustrze, jaka fryzura odpowiada kształtowi jej nosa — naprawi w ten sposób niesprawiedliwość przyrody.

Najmodniejsze kapelusze.



Wiadomo, że kapelusz jest koroną toalety kobiecej, ramą, która uwydatnia piękność obrazu... Zastrzegam się, że piszę to bez żadnej złośliwej myśli.

Ostatnie modele angielskie przynoszą zajmujące nowości. — Nasza ilustracya przynosi trzy najświeższe modele. Z tych górny model stanowi obecnie „le dernier cri", jako eleganckie okrycie główki do loży teatru, lub na koncert. Jest to wschodni turban, zręcznie udrapowany z jedwabnej mory, barwy lila, z wieńcem, z piór rajerowych, ustawionych w formie korony. Dwa inne modele, wizytowy i na ulicę, ztych pierwszy amerykański, zdobny płaskiem upięciem jedwabnem, koloru złotawego, z tęczową skośną przepaską, drugi o główce z lśniących pailletek, również skromnie otoczony miękką purpurową draperyą i przepięty gustowną agrafą.

---

białych rękawiczkach, w zaprasowanych szarych spodeńkach, w świecących lakierkach i białych gietrach zdawał się być chorążym jakiegoś weselnego pochodu, a nie tych szeregów ofiarnych, z których tylu miało ledz na polu beznadziejnej walki.

Na stacyi ładunkowej ostatnie były pożegnania, ostatnie żarty rozweselonej młodzi, ostatnie pełne zadufania okrzyki.

Pamiętam go w rozwartej czeluści olbrzymiego, brudnego wagonu towarowego.

— A wy teraz jakże?

— Nie wiem jeszcze... Mamy drugą partyę, trzecią, a potem kiedy się formacye skończą... Sam nie wiem, co dalej...

Wpatrzył się we mnie bystro swemi przenikliwemi oczyma.

— Powinniście wiedzieć. Armię tu trzeba robić. Słyszycie, ta nasza kupa to aby na pierwszy ogień...

— Gdzie, skąd armię?

— Amerykanie przyjadą. Ja wam mówię! Tylko się brać do rzeczy. Ktoś przecież musi, i nas tymczasem starczy na zdychanie.

Pierwszy oddział, a z nim razem inżyniera zawieziono do Bajonny, gdzie przez dwa miesiące ćwiczono go i uczono sztuki żołnierskiej. Bieda była, że aż piszczało, bo brakło wszystkiego. Wyrzekania, utyskiwania nie ustawały. Ten i ów co słabszego ducha, lżejszego serca wykręcał się od służby, wymykał, miał żołnierki dosyć. Inżynier, choć mu szósty krzyżyk mocno doskwierał, trzymał się, ani mruknął. W Bajonnie nawiązał sobie jakieś znajomości, jakichś relacyj osobliwych, bo, naraz, damy bajońskie złożyły się i ufundowały Polakom sztandar upragniony, mięsisty, jedwabny z kapiącym od srebra orłem. Tu była jeszcze polityka, ambasador rosyjski w Paryżu, cała groza carska, a tu, pewnego dnia, w Bajonnie, uroczystość w kościele wielka, bo święcenie polskiego sztandaru. W październiku 1914 roku!

Był mer, municypalność, oficerowie, no i pan inżynier jako chorąży.

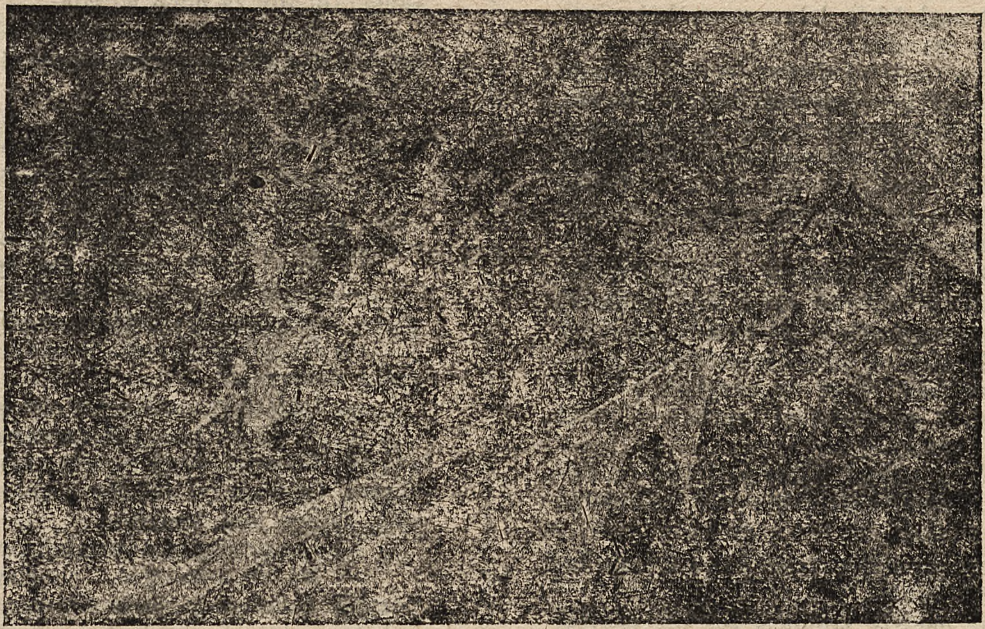
Lecz polskie zapały swoje, a prawo wojskowe swoje. Pułk legii cudzoziemskiej, do której nasi ochotnicy należeli, miał swój francuski sztandar, a więc dwu sztandarów w pułku być nie mogło, a zwłaszcza takiego, na którym ledwie jedna, druga polska kompania się rozumiała.

Zdjął więc z drzewca płachtę amarantową pan inżynier, zawinął ją w kawałek ceraty i do swego tłumoku żołnierskiego przytroczył. Drzewce zaś poszło do ambulansu i bełtało się między kołami z pękiem wyciorów w sąsiedztwie.

Kompania ruszyła na front. Sztandar bajończyków wprowadził się na dobre do tornistra pana chorążego i w tem zaciszu spodziewał się bodaj całą germańską odbyć potrzebę.

Nadszedł listopad. Ziąb, plucha, śnieg z deszczem mogiłom żołnierskim wyprawiał Zaduszki. W kompanii polskiej onego czasu, niby hen, dzisiaj, nad Dźwiną, wszystko wiatrem podszyte, buty dziurawe, żadnego cieplejszego opatrzenia i tyle jeno rozgrzewki, co bijatyki z robactwem. Szwaby górą byli. Trzeba było zębami i rękami się trzymać każdej grudki ziemi. Mroczno było i pusto, a i ciężko na duchu. Bo i tu nadeszły wieści z kraju i powiadały tym zatraceńcom na froncie francuskim o polskich legionach, o pana Piłsudzkiego z Moskalami rozprawach. Tamci mieli ponoć swe własne szyki, własne uniformy, polskich oficerów, a tu, gdzie, łamanie języka, wszystko niby bratnie, a przecież obce, że pies kulawy w tych czerwonych hajdawerkach i podpiętym granatowym płaszczu Polaka by się nie dowąchał. Sztandar polski był ci wpra

Elektryczna kolejka górska.



Elektryfikacya kolei jest problemem technicznym, który obecnie stał się specyalnie aktualnym, ponieważ koleje elektryczne pochłaniałyby daleko mniej węgla.

Inżynierowie francuscy energicznie pracują nad urzeczywistnieniem planu ogólnej elektryfikacyi kolei. Skonstruowano już — jak donoszą pisma francuskie — bardzo praktyczny model elektrycznej lokomotywy, na wzór lokomotywy używanej na niektórych liniach kolejowych amerykańskich zarówno przy pociągach osobowych, jak i przy towarowych.

Na terenach wysoko-górskich, koleje elektryczne dawno już znalazły swe zastosowanie. Ilustracya nasza przedstawia taką właśnie kolejkę elektryczną, biegnącą pośród ścian skalnych ponad przepaściami.

* * *
*

wdzie wciąż w tornistrze pana inżyniera, ale z bezczynności zaczął się już na dobre siapać i, co gorsza, zamókł ze szczętem.

Tak ci było, aż tu naraz forpoczty 50 pułku piechoty liniowej francuskiej chwyciły kilku Niemców. Do badania, do rozpraw. Co, kto, jak, chłop w chłopa Poznaniacy. Nikt ich tam nie chwytał, bo sami za pas nogi wzięli i do Francuzów przybyli z wiadomościami, że przed 50 pułkiem piechoty, jak okiem sięgnąć, sami prawie stoją Polacy...

Zakotłowało się w sztabie francuskim. Jak tu zrobić, coby tu począć. Są Polacy w legii cudzoziemskiej. Dawać ich tu, niech sobie pogadają!

Rozkaz ruszył, dopadł bajończyków, wygarnięto co żwawszego chłopa z sierżantem Malczem i dopytano się sztandaru.

Pan inżynier dobył go z tornistra i po drzewce do ambulansu. Koniuch szelma drzewcem sobie kawy ugotował. Więc nic, wyszukano tykę, przytroczono akuratnie amarant i ruszyła gromada do okopów 50 pułku. O zmierzchu bajończycy dotarli do pierwszej linii. Rowy pruskie były tuż naprzeciw o kilkadziesiąt metrów.

Nasi ryknęli „Jeszcze Polska", a potem „Rotę"...

Zrazu nie było odzewu. Wyczekano chwilę i nową zaintonowano pieśń...

Ponad czarną smugą okopów niemieckich wychynęła jakaś przyziemna, falista linia.

Malcz chwycił za tubę.

— Czy słyszycie nas?!

— Słyszymy! — jęknęły głosy.

I zaczęła się rozmowa, pamiętna, tragiczna, rozmowa dwu wrogich okopów, synów jednej matki ziemi.

Więc radość, zdumienie, powątpiewanie, wahanie...

— Jutro, po dniu ruszymy! Sztandar wasz będzie nam sygnałem... Teraz nie pozwalają nam dalej mówić.. Do jutra!

Zaledwie te słowa przebrzmiały, wśród ciemni nocnej, na przestrzeni kilkunastu kilometrów zerwał się na raz szalony, pełen zapału i mocy o krzyk wojsk francuskich:

— Vive la France! Vive la Pologne!

Okrzykom tym zawtórowały trąby i bębny, sekundowane przez strzały armatnie.

Front francuski witał w ten sposób wiadomość o zwycięstwie pod Łodzią i ukazanie się Polaków w niemieckich mundurach!

Noc minęła naszym bajończykom na gorączkowem oczekiwaniu. Nareszcie zaczął się brzask smutnego szarego dnia listopadowego. Na ponurej równi, poprzerzynanej zygzakami okopów, powiał amarantowy sztandar, rozwinął się ociążale i, porwany wichrem, załopotał hardo.

Okopy niemieckie zalewała ponura cisza. Pan inżynier mocniej targnął sztandarem.

— Naprzód musimy, aby lepiej nas zobaczyli!

Gromadka rzuciła się za swym chorążym. Gdy, wtem, huknęła salwa. — Okopy niemieckie bluznęły. Sztandar zachwiał się w ręku pana inżyniera, trzydzieści cztery kule przeszyło amarant, trzydziesta piąta powaliła chorążego. Padł na wznak, tuląc do piersi umiłowanego orła.

* * *

Tak poległ śmiercią walecznych Władysław Szuyski, syn znakomitego historyka, ochotnik polski w armii francuskiej, jeden z tych, którzy życiem własnem utorowali drogę sztandarom błękitnej naszej armii.

Działo się to w listopadzie, 1914 r.

Wacław Gąsiorowski.

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

Młodzieniec dostrzegł iskrę łakomstwa, która zabłysła w czarnem oku sąsiada.

— Cóż z tego. — rzekł niedbale, — to nie moje pieniądze. Mówiłem właśnie ojcu, żem był w obawie, czy mu czego nie brakło w czasie mojej nieobecności, on zaś, dla uspokojenia mnie, wysypał oto z worka na stół tyle pieniędzy. Mój ojcze, schowaj to do szuflady, może też nasz sąsiad Caderousse będzie potrzebował, należy mu odsłużyć się.

— Uchowaj Boże, moje dziecko, — rzekł Caderousse, — ja Bogu dzięki nic nie potrzebuję; schowaj sobie swoje pieniądze, tego nigdy nie można mieć zawiele; swoją drogą bardzo ci dziękuję za twoją gotowość, przyjmuję tymczasem chęć za uczynek.

— To było pewnie z dobrego serca, — rzekł Dantes.

— Ani wątpię. No i jakże? jesteś podobno na dobrej stopie z panem Morrel? ale jakie też z ciebie dziecko!

— Pan Morrel był zawsze szczególnie na mnie łaskaw — odpowiedział Dantes.

— I dlatego, tak mądrze zrobiłeś, żeś nie przyjął zaproszenia na obiad?

— Jakto? — wtrącił stary Dantes. — Czy on cię zapraszał na obiad do siebie?

— Zapraszał, — odpowiedział Edmund, uśmiechając się lekko.

— Mój synu, jak śmiałeś odmówić?

— Bom pragnął ciebie jak najprędzej zobaczyć, mój drogi ojcze; do ciebie się spieszyłem.

— To może być przykro panu Morrel, on taki poczciwy, — dodał znowu Caderousse. — Kiedy się komu chce zostać kapitanem, wielkie głupstwo robi, jeśli się sprzeciwia w czemkolwiek szefowi.

— Wyłuszczyłem mu powody odmowy, i zrozumiał, jak sądzę.

— Ale jeśli chcesz zostać kapitanem, powinieneś pochlebić czasem swoim zwierzchnikom.

— I bez tego spodziewam się, że będę kapitanem.

— Daj Boże, tem lepiej, będziemy się z tego wszyscy twoi dawni przyjaciele serdecznie cieszyli, a ktoś, o kim ja wiem, tam za cytadelą św. Mikołaja, pewnie się nie rozgniewa bardzo.

— Mercedes — rzekł starzec.

— Tak, mój ojcze, — odpowiedział Dantes, — za twojem pozwoleniem, kiedym cię zobaczył i uściskał, kiedy wiem żeś zdrów i niczem ci nie zbywa, chciałbym ją odwiedzić.

— Idź moje dziecko, idź do swojej żony!

— Żony? — zapytał Caderousse. — Jakżeś to jegomość prędko skoczył; wszak jeszcze nie jest jego żoną.

— Nie, ale wkrótce nią będzie, — odpowiedział Edmund.

— Mniejsza o to, w każdym razie dobrześ zrobił, żeś się pospieszył mój chłopcze!

— A to czemu?

— Bo ładna dziewczyna, a ładnym dziewczętom nie trudno o kochanków, szczególnie jej! tuzinami włóczą się za nią.

— Doprawdy? — zapytał Edmund i lekki odcień niepokoju przebił się w jego uśmiechu.

— Niezawodnie, — odpowiedział Caderousse; doskonałe trafiały się jej partye; ale wobec ciebie: kapitana...

— To znaczy, że gdybym nie był kapitanem... Ale co tam! — dodał — dajmy temu pokój; mam lepsze o kobietach wyobrażenie, w szczególności o Mercedes, i jestem przekonany, że czybym był, czy nie był kapitanem, onaby za mnie wyszła.

— Daj Boże, tem lepiej! — rzekł Caderousse; — kto się chce żenić, powinien koniecznie ufać i wierzyć.

Poczem wyszedł na ulicę i spotkał Danglarsa, który go oczekiwał na rogu ulicy Seneu.

— I cóż? widziałeś go? — zapytał Danglars.

— Przed chwilą rozeszliśmy się.

— Mówił ci, że ma nadzieję zostać kapitanem?

— Mówi o tem, jakby już było po wszystkiem.

— Cierpliwości! cierpliwości trochę! — rzekł Danglars; myślę, że się trochę za prędko wyrywa.

— Dyabli go wiedzą! widać, że mu Morrel przyrzekł stanowczo.

— I dlatego ma się już cieszyć?

— Powiedz raczej rozzuchwalać. Wyobraź sobie, już mi ofiarował swoją pomoc, usługi, jakby jaka wielka figura. Oświadczył mi się z chęcią pożyczenia pieniędzy, jakby jaki bankier.

— Nie przyjąłeś naturalnie.

— Ma się rozumieć, chociaż sumiennie mogłem przyjąć, zważywszy, że ja pierwszy dałem mu zapomogę, z której oto jak się dochrapał, ale teraz, gdzieto! Pan Dantes nie potrzebuje nikogo, zostanie kapitanem.

— Bah, bąknął Danglars, jeszcze nie został.

— Słowo daję, dobrzeby było, żeby nie został, — rzekł Caderousse, bo potem ani gadaj, ani przystępuj do niego.

— Jak zechcemy, — szepnął Danglars, — będzie tem, czem jest dzisiaj, a może nawet i to straci, mówiąc między nami.

— Co ty mówisz?

— Nic, tak oto, sam do siebie mówiłem, czy on zawsze kocha się w tej swojej dziewczynie?

— Szalenie! powiadam ci, poszedł do niej. Ale mi się zdaje, może ja się mylę, on tam dużo kwaśnych jabłek zgryzie. — Mów jaśniej. — Czemuż naprzykład? To nie tak mała rzecz jak myślisz. Wszak ty nie lubisz Dantesa? co?

— Hm, ja zarozumialców cierpieć nie mogę.

— Powiedz mi tedy, co wiesz o tej jego kochance?

— Nie wiem nic dokładnie; z tego tylko, co widziałem, wnoszę, jakem ci to już wspomniał, że nasz przyszły kapitan wiele jeszcze może znaleźć zawad w tych stronach.

— Więc i cóżeś widział? mój drogi, powiedz.

— Widziałem np., że ile razy Mercedes wychodzi do miasta, towarzyszy jej zawsze jakiś ogromny mężczyzna Katalończyk: oko czarne twarz rumiana, śniady, ognisty i on nazywa go krewnym swom.

— Aha! jakże ty sądzisz, czy ten kuzynek umizga się do niej?

— Tak się zdaje. Bo cóżby robił chłopak 21—2 lata przy dziewczynie siedmnastoletniej, i do tego ładnej.

— I powiadasz, że Dantes poszedł do tych Katalonów?

— Tylko co przedemną.

— Pójdziemy w tę stronę, posiedzimy sobie trochę u jegomości pana Panfila, i przy szklance winka Lamalgue, będziemy czekać, co się dalej stanie.

— A któż tam co nam doniesie?

— Będziemy właśnie w najlepszym punkcie; zobaczymy zaraz z fizyonomii Dantesa, co się tam dzieje.

— Dobrze, chodźmy, — rzekł Caderousse, — ale ty fundujesz?

— Oczywiście, — odpowiedział Danglars.

I udali się szybko w stronę umówioną. Przyszedłszy, kazali sobie podać pół-buteleczki. Jegomość pan Panfil, przed 10 minutami widział Dantesa przechodzącego. Nie ulegało wątpliwości, że Dantes siedzi u Katalonów, pod zasłoną rozkwitających krzewów i kwiatów, pod gałązkami, na których stada ptasząt wesołych śpiewały hymny radosne pierwszym zarankom wiosny.

Rodzina Katalońska.

O sto kroków od miejsca, gdzie dwaj przyjaciele spijając ostre wino L a m a l g u e wytężali wzrok i uszy, wznosiła się skromna wioseczka poza wzgórzem nagiem i wypalonem od słońca i wschodniego wiatru.

W czasie, którego tu nie możemy dokładnie oznaczyć, tajemnicza osada wyruszyła z Hiszpanii, i zajęła ten kawałek ziemi, na którym dotąd istnieje; nie wiadomo skąd przybyła i jakim mówiła językiem. Jakiś naczelnik ich, znający język francuski prosił marsylską gminę, aby mu przeznaczyła ten nagi niepłodny przylądek, gdzie pragną na wzór starożytnych żeglarzy założyć swoje siedziby. Przychylono się do jego prośby i we trzy miesiące później, powstała osada z dwunastu czy piętnastu zabudowań, które wznieśli zamorscy cyganie.

Wioska ta w dziwny i malowniczy sposób zbudowana, w guście na pół hiszpańskim, na pół mauryt'ańskim, trwa do dziś dnia i żywi potomków tych pierwszych osadników, dotąd język swych ojców przechowujących. Po trzech czy czterech wiekach, pozostali jeszcze wiernymi temu małemu przylądkowi, gdzie się w początkach zabudowali. Jak owe zamorskich ptaków stada, nie łączą się z marsylską ludnością, żenią się między sobą tylko i przechowują obyczaje i ubiór ojczysty, jak przechowali język własny.

Musimy zaprowadzić czytelników na jedyną ulicę małej wioseczki, aby weszli z nami do domku, któremu zewnątrz słońca promienie nadały tę piękną barwę żółtawą, pomnikom krzyżowym właściwą, a wewnątrz tę powłokę tynkową białą, co stanowi główną hiszpańskich siedzib ozdobę.

Obrócona do ściany, piękna młoda dziewczyna; o włosach czarnych i oczach błyszczących jak u gazelli, stała i rwała niecierpliwie wysmukłemi, cieniuchnemi paluszkami, dziwne pięknego kształtu listki niewinnego jakiegoś kwiatka, które zasłały już prawie podłogę; ręce obnażone po łokcie, opalone trochę, lecz udatne jakby z Wenus arlejskiej wzorowane, trzęsły się gorączkowem drżeniem. Nóżką szczupłą, nieco zgiętą tupała w ziemię tak, żeś mógł dojrzeć kształt uwięziony w bawełnianą czerwoną pończoszkę, szarym i błękitnym kolorem przerabianą.

O trzy kroki od niej, siedział w krześle, kołysząc się kiedy niekiedy, oparty łokciem o jakiś sprzęt spruchniały, wyniosły młodzieniec lat 21 mający i patrzał na nią wzrokiem, w którym malowała się złość i niepokój. W oczach miał wyraz zapytania, ale wzrok pewny i śmiały dziewczyny, hamować zdawał się jej towarzysza.

— Uważże teraz, moja Mercedes, — mówił młodzieniec: Zielone Świątki nadchodzą, czas najlepszy do wesela, jakże myślisz?

— Jużem ci sto razy powiedziała, co myślę, mój Ferdynandzie. W rzeczy samej. jesteś chyba nieprzyjacielem samego siebie, kiedy mnie śmiesz jeszcze pytać.

— Niech i tak będzie! powtórz mi jeszcze, błagam cię, powtórz, może uwierzę, powtórz to setny raz, że odrzucasz moją miłość, którą matka twoja uświęciła; niech już nakoniec przekonam się, jak igrasz z mojem szczęściem, że ani śmierć moja, ani życie nie obchodzą cię bynajmniej. Ah Boże mój, Boże Wielki! Dziesięć lat marzyłem o tem, aby zostać mężem twoim Mercedes, dziś mam stracić tę całą nadzieję, która była życia mojego celem jedynym.

— Czyż ja jakim bądź sposobem podsycałam te twoje nadzieje, mój Ferdynandzie! — odpowiedziała Mercedes, czyliż masz mi do wyrzucenia choć jedno przymilenie, którembym cię uwieść chciała? Powtarzałam ci owszem nieustannie: „kocham cię jak brata, a więcej jak miłości braterskiej nie żądaj ode mnie, bo serce moje innemu oddane", powtarzałam to, wszak prawda?

— Prawda Mercedes, słyszałem to zawsze, — odpowiedział młodzieniec; prawda, żeś sobie postanowiła traktować mię tą okrutną swoją szczerością. Nie zapominaj jednak, że u Katalonów prawem jest najświętszem, aby się tylko z sobą łączyli.

— Mylisz się Ferdynandzie, nie jest ta prawo, ale zwyczaj tylko i nic więcej: i radzę ci, na Boga! nie przyzywaj zwyczaju tego na swoją obronę. Ferdynandzie, ty należysz do popisowych; jeśli dotąd wolnym jesteś, to ze szczególnyh względów; dziś, jutro, możesz być powołanym, abyś stanął pod sztandarami narodowymi; zostaniesz żołnierzem, i cóż się stanie ze mną, biedną dziewczyną, sierotą, nieszczęśliwą, bez majątku, której całem mieniem nędzna chata w gruzy waląca się i kilka starych rybackich sieci; oto jedyne dziedzictwo zostawione w spadku matce po ojcu, a mnie po matce. Od jej śmierci rok już mija; przyznaj mój Ferdynandzie, czyż nie z litości ludzkiej utrzymuję się? Utrzymujesz wprawdzie czasem, żem ci jest pomocną, jedynie dlatego, abyś mógł ze mną razem odbywać połów. Ja ci nie odmawiam, bo jesteś synem brata ojca mojego, bośmy się razem wychowali, a bardziej jeszcze dlatego, że wiem, jakby ci było przykro, ilebyś cierpiał, gdybym odmówiła. Czuję przecież dobrze, że te ryby które sprzedaję, i za które biorę pieniądze, aby potem było za co kupić konopi na siecie, czuję to, powtarzam ci Ferdynandzie, że to tylko jałmużna.

— Cóż to wszystko znaczy, Mercedes! uboga właśnie i sierota jak ty, jesteś dla mnie milszą i stosowniejszą, niż córka jakiego dumnego kupca lub najbogatszego bankiera w Marsylii. Bo czegóż takim jak my potrzeba? poczciwej żony i dobrej gospodyni. Gdzież i u jakiej kobiety znajdę te przymioty?

— Ferdynandzie, — odparła Mercedes, wstrząsając głową, — nie podobna być dobrą gospodynią i uczciwą żoną, jeśli się kocha kogo innego, nie męża. Poprzestań na mojej przyjaźni, bo tyle tylko ofiarować ci mogę.

— Rozumiem cię, — rzekł Ferdynand, — cierpliwie znosisz własną nędzę, ale się lękasz znosić i moją. A więc, Mercedes, gdybym posiadał twoje serce, jabym może zdobył szczęście, tybyś je do mnie sprowadziła, zostałbym może bogatym. Ja rozszerzę zakres mej pracy, pójdę do jakiego domu handlowego, jako komisant, potem sam będę kupcem.

— Ty do niczego brać się nie możesz, mój Ferdynandzie, boś popisowy; że jesteś teraz w domu, to dlatego, że nie ma wojny; zostań jak byłeś rybakiem, poprzestań na mojej przyjaźni, bo innego uczucia nie jestem w stanie obudzić dla ciebie.

— A więc dobrze, inaczej zrobię, Mercedes, zostanę marynarzem, zrzucę strój ojców naszych, bo ty nim pogardzasz, a przywdzieję pstrą czapkę, koszulę w pasy i niebieską kamizelkę z kotwicą na guzikach. Wszak trzeba nosić taki strój, aby ci się podobać?

(C. d. n.)

Taniec miłości i śmierci.

Nowe rewelacye o tragedyi w Mayerlingu.

Jedynak cesarski. Miłość Rudolfa i Maryi Vecsery. Śmierć kochanków. Samobójstwo czy zabójstwo? Zakochana pensyonarka. Nieubłagany ojciec. Wyrok logiki dziejów.

Zmierzch potęgi Habsburgów, jedne go z najstarszych rodów w Europie, władców nieledwie ongiś połowy Europy, dokonał się przed naszemi oczyma. Rozpadł się spróchniały tron, runęła korona, otwarły się podwoje pałaców pustką latami stojących, ku kaprysowi monarchów. I z tych progów wyszła tajemnica, ukrywana troskliwie, wyszła na kształt lady Macbeth, z zakrwawionemi rękami.

Tajemnica arcyksiążęcej siedziby
Nam, oczywista, ród Habsburgów,
Dla nas oczywista, ród Habsburgów, dla nas wolnych, nie wiele on już znaczy. Dla nas to już „historya".

Inna rzecz jednak, gdy spojrzymy na ostatnich przedstawicieli zaborców jako ludzi, którzy ciepią na równi z innymi śmiertelnikami.

Tragedya jedynego syna ostatniego cesarza Austryi ma w sobie coś prawie mistycznego, skoro spojrzymy na nią z gruzów cesarstwa. Dotąd tylko półgębkiem wolno było o tem mówić i tylko zagranica wysyłała powieści, osnute na tle tajemniczego morderstwa w zamku myśliwskim w Meyerling które notabene w nas konfiskowano. Legendy krążyły o arcyksięciu Rudolfie i Vetserze, a wśród ludu długi czas żyła pewność, iż Rudolf uciekł przed zapalczywością cesarza do Ameryki, niby drugi Jan bez ziemi, i tam czeka, aż się „stosunki ułożą". Było jednak niestety inaczej. Arcyksiążę istotnie zginął śmiercią samobójczą wraz ze swą ukochaną. Po matce swej, pięknej i tak nieszczęśliwej Elżbiecie miał widocznie w krwi wstręt do wszelkich ceremonii dworskich. Najchętniej wymykał się z pałacu, by w kole miłych towarzyszy spieszyć na polowanie, by zapomnieć, że skuty jest z kobietą, dla której serce jego nic nie czuje.

Biedny, samotny wśród dworskiego tłumu arcyksiążę! I oto zjawiła się mu cudna baśń, wizya upojna, sen płomienny. Oto zabiło mu po raz pierwszy serce tak gorąco, tak zapamiętale, jak nigdy dotąd. Śliczna Vetsero, pocóżeś znalazła się na drodze życia biednego arcyksięcia? Wszak panującym kochać nie wolno wedle własnego serca, własnego wyboru, tylko wedle planu ministrów.

W tajemnej głębi myśliwskiego zamku, daleko od dworu, od ceremoniału, od tronu ukryła się miłość Rudolfa i Maryi Vetsery! Chciał się zrzec tronu, rozerwać węzły, łączące go z obojętną mu żoną, Stefanią belgijską — bo słodka Marya była mu różą zachwytów, rajem wyśnionym, ostoją wśród burz bezmyślnego życia arcyksiążęcego.

Miał serce i pragnął serca... Pusty był dla niego Wiedeń bez ukochanej, ohydnym wspaniały Schönbrunn, gdzie siedział cesarz-ojciec srogi, niepomny własnych grzechów, obojętnym tron przyszłego cesarza Austryi.

Kochał i chciał być kochany — oto jedyne pragnienie cesarskiego jedynaka.

I to była jego tragedya.

Intrygi dworskie dopięły jednak swego celu. Wpędziły arcyks. Rudolfa w sytuacyę. z której nie było innego wyjścia — jak śmierć.

Dwa celne strzały położyły trupem kochankę i kochanka.

Tak się przedstawiała w rzeczywistości ta tragiczna sprawa, o której przez długie lata krążyły jaknajsprzeczniejsze wieści. Z licznych pogłosek z początku najwięcej zwolenników znajdowała wersya, że śmierć kochanków była aktem zabójstwa, dokonanego podczas jakiejś pijackiej orgii w Mayerlingu.

Wprawdzie urzędowa „Wiener Zeitung" przyniosła wiadomość o samobójstwie, ale przeważna część tak prasy, jak publiczności nie uwierzyła tej publikacyi. Umocniło się bowiem z góry przekonanie, że dwór zechce prawdę zataić, cokolwiek więc z tej strony pochodziło, przyjmowano z niewiarą.

A jednak wszystkie okoliczności przemawiały za samobójstwem. Przedewszystkiem nasuwało się pytanie, dlaczegoby dwór wybrać miał takie właśnie tłomaczenie, kiedy każde inne wydawało się mniej dla pamięci zmarłego uwłaczające. Dwór austryacki był bardzo, a bardzo katolicki i już z tego względu bez konieczności do samobójstwa by się nie był przyznał. O ile np. wygodnej było ogłosić krótko, że arcyksiążę padł ofiarą jakiegoś zbrodniczego zamachu. Wszakże ogłaszając samobójstwo, dwór narażał się ze strony Kościoła na odmowę pogrzebu; arcybiskup rzeczywiście odmówił i uległ dopiero pod naciskiem papieskiego nuncyusza.

Dalej: kiedyż właściwie odbyć się miała owa rzekoma orgia?

Ponad wszelką cierpliwość stwierdzono, że cesarzewicz zrana, krytycznego dnia, był u cesarza na audyencyi, że wyszedł bardzo wzburzony, pojechał z Burgu prosto do koszar, gdzie miał swoje biuro, tam napisał i wysłał kilka listów, poczem dopiero odjechał do Mayerling. Przybyć tam mógł najwcześniej koło godziny jedenastej, a wszakże w południe cesarz otrzymał już wiadomość o śmierci. Nie było wręcz czasu na jakąkolwiek orgię.

Naturalnie, że uwaga, skierowała się przedewszystkiem na osobę Maryi Vecsery. Jako szczegół uboczny podała, że policya skonfiskowała u fotografów wszystkie płyty tej fotografii; żeby wydostać egzemplarz dla „Figara" zapłacić musiałem 100 guldenów. Skonstatowaliśmy, że nieszczęśliwa baronówna dopiero przed pół rokiem opuściła pensyę i prowadziła u boku matki życie zupełnie nienaganne. Koleżanki jej opowiadały, że jeszcze na pensyi będąc, kochała się w cesarzewiczu, nosiła stale w medalionie jego fotografię, a w klasie nazywano ją żartem „die Erzherzogin". Nie była więc bynajmniej osobą zdolną do udziału w pijackiej orgii.

Ażeby zebrać dalsze szczegóły, razem z jednym angielskim i drugim węgierskim kolegą, pojechaliśmy do Baden, skąd przez kilkad ni objeżdżaliśmy powozem całą okolicę Mayerlingu. Liczni sąsiedzi leśniczówki zgodnie zeznawali, że tego dnia nie było tam żadnego zjazdu gości; widziano tylko cesarzewicza, którego przywiózł ulubiony jego fiakier, Pratisc[illegible], na krótko zaś przedtem wysiadała przed leśniczówką młoda kobieta, oczywiście Marya Vecsera.

Wszystkie te szczegóły zgadzały się z tem, co sobie z ust do ust opowiadano. Mianowicie, że arcyksiążę owego ranka po raz ostatni błagał ojca, ażeby zgodził się na jego rozwój z żoną. Jak było do przewidzenia, Franciszek Józef stanowczo odmówił. Stary cesarz, który w oświetleniu służalczej prasy wiedeńskiej, wyglądał na tkliwego poczciwca, był w rzeczywistości człowiekiem twardym, który swej dynastycznej pysze poświęcił już przedtem osobiste szczęście tylu, a tylu członków rodziny. W tym wypadku zresztą, ojciec nawet mniej twardy nie łatwo byłby uległ; szło wszakże o następcę tronu, katolickim ślubem z żoną związanego. Skoro więc ostatnia próba zawiodła, cesarzewicz napisał parę pożegnalnych listów i pojechał do Mayerlingu, gdzie czekała już na niego baronówna Vecsera. Tu dojrzał i tu dokonany został plan wspólnej śmierci. To jedynie tłumaczenie odpowiada logice, aż do najdrobniejszych szczegółów, a jeśli ogół dotąd jeszcze wierzy rozmaitym innym pogłoskom, to dlatego jedynie, że zgóry powziął nie uzasadnione mniemanie, że każde ze strony dworu pochodzące tłumaczenie będzie nieprawdziwe. Być może, że na aktach dworskich oparta rewelacya, jeśli się

wogóle ukaże, żąda moim przypuszczeniom kłam, jednak wszystkie, dotąd znane szczegóły, stanowczo przemawiają za samobójstwem.

Arcyksiążę był typowym wiedeńczykiem, więc i lekkomyślnym i sentymentalnym; miłość, zakończona podwójnem samobójstwem, zupełnie odpowiada jego stylowi. Ale i dziś, kiedy tron habsburski już nie istnieje, a członkowie dynastyi rozpierzchli się po szerokim świecie, tajemnica trwa dalej i widocznie jest, że Habsburgowie wszystkie akty, dotyczące dramatu w Mayerlingu, albo wywieźli za granicę, albo zniszczyli, bo gdyby znajdowały się w archiwach wiedeńskich, dzisiejszy socyalistyczny rząd z pewnością ich nie ukrywał.

O politycznym kierunku arcyksięcia pozostały tylko nieliczne świadectwa. Literaci, którzy schodzili się z nim stale, jako z nominalnym redaktorem dzieła p. t.: „Oesterreich Ungarn in Wort und Bild“ zgodnie stwierdzają, że przy każdej sposobności okazywał kierunek liberalny.

Bardzo pilnie uprawiał wymianę listów z jednym z najwybitniejszych wówczas redaktorów wiedeńskich, Mauryцym Szepsem. Z każdej podróży pisywał do niego niemal codziennie. Po śmierci Szeps na prośbę dworu listy wydał, zatrzymując na pamiątkę jeden tylko, który dziś jest w posiadaniu jego syna, znanego redaktora „Fremdenblattu“. Ale syn utrzymuje treść listu w tajemnicy; tyle tylko wiadomo, że cesarzewicz opisuje w tym liście pierwsze spotkanie swoje z Bismarkiem i w związku z tem wspomina o sprawie polskiej.

Zginął, nie dożywszy upadku i państwa i dynastyi, upadku, którego i on nie byłby w stanie powstrzymać, bo wyrok wydała nieubłagana historyczna logika.

Przez śmierć do życia.

Nowa teorya o leczeniu chorób gruczołowych. Znaczenie gruczołów tarczykowych. Zaszczepianie gruczołów z innych organizmów. Wycinanie gruczołu zdrowego nie pociąga szkody. Matki dają swe gruczoły dla uratowania dzieci od kretynizmu. Gruczoły nie zamierają równocześnie z ciałem. Gruczoły wycięte umarłym dadzą się przechowywać w stanie żywym przez kilka tygodni. Zużytkowanie gruczołów osób zmarłych skutkiem wypadku. Ewolucya wiedzy pociągnie za sobą ewolucyę prawodawstwa.

Sergiusz Voronoff, dyrektor prac chirurgicznych przy Stacyi fizyologicznej w „College de France“ wyłożył na ostatnim francuskim kongresie chirurgicznym swoją teoryę o chorobach gruczołowych i nowym sposobie leczenia ich. Teoryę tę, która wywołała wielkie zainteresowanie, podaje doktor Voronoff obecnie dla szerszej publiczności w paryskim „Journal'u“.

Tajemnicze organa o wydzielinach wewnętrznych, zwane gruczołami, a rozmieszczone w rozmaitych częściach ciała ludzkiego, dr. Voronoff uważa za najważniejsze motory naszego organizmu. Brak — ewentualne usunięcie — drobniutkich gruczołów przedtarczykowych pociąga za sobą niechybną śmierć; ubytek gruczołu tarczykowego powoduje kretynizm, brak wydzielin wewnętrznych tegoż gruczołu staje się przyczyną fizycznego i moralnego zmarnienia i t. p.

Zapobiedz temu brakowi lub wzmocnić funkcyę owych gruczołów przez zaszczepienie młodego i zdrowego gruczołu, znaczy to odnowić życie.

Skąd jednak dostarczyć tych gruczołów zbawiennych? Na to pytanie odpowiedział słynny chirurg na kongresie: „W braku gruczołów ludzkich, dostarczy nam ich małpa“.

Najlepiej oczywiście byłoby używać przy leczeniu ludzi gruczołów ludzkich. Dla przedłużenia życia, oraz dodania siły i energii starym baranom zaszczepiał im gruczoły wycięte młodym baranom. A uczynić to można bez szkody dla młodego zwierzęcia. Natura bowiem jest rozrzutną: gruczoły są prawie zawsze podwójne i wycięcie jednego nie wywołuje żadnych złych następstw.

Matki, które z miłości i poświęcenia dla swych dzieci, zagrożonych kretynizmem z braku gruczołu tarczykowego zgodziły się na wycięcie im jednego gruczołu i zaszczepienie go dziecku, nie doznawały z tego powodu najmniejszej szkody. Odkąd rzecz ta się rozgłosiła dr. Voronoff otrzymał dużo listów z propozycyami ofiarowania swego gruczołu dla ratowania drogiego sobie chorego.

Jednak żywi nie są jedynem źródłem, z którego zaczerpnąć można ożywczego gruczołu. Z chwilą, gdy ustaje bicie serca i następuje śmierć, kończy się też harmonia we współdziałaniu organów naszych; ciało, jako indywidualność czynna, świadoma, jest martwe, lecz nie zamierają jeszcze w tejsamej chwili rozmaite jego części składowe. Nie otrzymują wprawdzie już elementów odżywczych, dostarczanych im przez krew, lecz żyją jeszcze przez czas jakiś, poszcząc, dłużej, lub krócej, stosownie do ich struktury. Części najsilniejsze, jak kości, zatrzymują swą żywotność jeszcze przez osiemnaście godzin po śmierci, rozmaite zaś gruczoły przez trzy do sześciu godzin.

Wycięte z ciała przed własnem swem zamarciem, zachowują wszystkie swe własności witalne, a przeszczepione do innego ciała spełniają znów swe funkcye .Co więcej, wycięte w czasie właściwym, gruczoły te dadzą się zakonserwować przez kilka tygodni, gdy się je przechowuje w temperaturze równej zeru. We wszystkich wielkich miastach umierają codziennie prawie istoty młode i silne, skutkiem nieszczęśliwych wypadków. Chirurgia winna zużytkować gruczoły wycięte tym jednostkom i przechowane w odpowiednich retorach. Dr. Voronoff proponuje, ażeby w wielkich miastach utworzyć specyalne szpitale dla chorób gruczołowych i do tych szpitali przenosić też zwłoki osób młodych, które padły ofiarą wypadku, celem wycięcia gruczołów po porzedniem zbadaniu organizmu.

Na nieszczęście przesądy ludzkie i prawodawstwo stawiają opór tym usiłowaniom chirurgii. Lecz dr. Voronoff nie traci nadziei, że — jak zwykle, tak i w tym wypadku — śladem ewolucyi wiedzy pójdzie ewolucya umysłów i prawodawstwa. Gdy rozszerzy się świadomość, że wszczepienie inteligencyi ludzkiej istocie, wzmożenie siły osłabłej, odmłodzenie organizmu starego jest bądź co bądź lepszem i godniejszem, niż bezużyteczne butwienie w grobie, wówczas — kończy dr. Voronoff — tysiące egzystencyi będzie uratowanych, zwróconych pięknemu, harmonijnemu życiu!

Z krainy tańca.



Najmodniejszym obecnie w Anglii tańcem jest t. z. „tango-walc“. Nowy ten taniec stanowi efektowną kombinacyę tanga i „hesitation“-walca. Narazie „tango-walc“ jest estradową produkcyą taneczną, ale podobno w karnawale będzie święcił tryumfy w salonach, na balach, urządzanych przez najwykwintniejsze towarzystwo angielskie.

W dziewiczych krajach Afryki.

4 (Dalszy ciąg).

Pewnego pięknego poranku wvdarzyło się, że było potrzeba komisanta marynarki i chirurga kl. 3. do stanicy Bakel w wyższym Senegalu. Oficer, dowodzący tamże dwudziestoma pięcioma ludźmi załogi, zażądał administratora i lekarza, utrzymując, że z rachunkowością nie może dać sobie radv, a ponieważ w apteczce polowej nie znajduje przepisów, jak czego używać, więc nie wie co robić z lekarstwami, a ludzi swych powierzać musi opiece lekarzy murzyńskich.

Wieczorem w kawiarni Danéana Toucas i Giliasse zgadali się o wakansach, a nazajutrz ofiarowali się z poświęceniem.

Toucas mógłby był oddawna opuścić Tulon; potrzeba mu było tylko zażądać przeniesienia do komisaryatu kolonialnego, tego r e f u g i u m nicości krajowych; ale nie chciał opuścić Giliassa. A ponieważ medycyna nie ma, jak administracya, filii kolonialnej, do którejby spychać mogła nędzoty swoje, wiąc musiał wyczekiwać na przyjazną sposobność, któraby dozwoliła byłemu uczniowi farmacyi wyjść tylną furtką na chirurga.

Ofiarę ich przyjęto chętnie; dawała ona możność pozbycia się ich raz przecie i uszczęśliwienia nimi fortu Bakel, dokąt nikt jechać nie chciał.

Nastąpiły niebawem egzamina, do których tym razem stanęli oni z wiarą w powodzenie. Było to zdarzenie długo pamiętne w Tulonie. Kto tylko miał styczność najmniejszą z administracyą i portem, nie omieszkał stawić się na widowisko. Toucas, z miną pogardliwą i ufną w siebie głośno oświadczył, że z matematyki i przepisów administracyjnych nic sobie nie robi. Przeciwnie Giliasse był pociesznym poprostu, a o puszczeniu krwi i środkach przeczyszczających wypowiadał teorye niesłychane. Ostatecznie egzaminatorowie wobec powszechnego śmiechu wywołanego przez kandydatów zawahali się, co zrobić mają. Ale przed egzaminem zaręczono uroczyście kandydatom, że nie będą o b c i ę c i, wypadało dotrzymać tedv słowa; dożywotni aspiranci nasi wvszli z tej łaźni, jeden z patentem ajenta marynarki kolonialnej i srebrnym galonem na rękawie, drugi z galonem złotym i dyplomem chirurga klasy trzeciej.

We dwa tygodnie później płynęli do Senegalu. Przez ośm lat zapomniano o nich w Bakel, pozostawiając wśród słodyczy murzyńskiego towarzvstwa. Ale umieli oni dać sobie radę. Nie naprożno byli w Tulonie. Więc zbyt wiele wolnego czasu, jakiego im czynności urzędowe nie skąpiły, poświęcali na wymianę butelek tafii na kość słoniowa i piasek złoty, kładąc tem fundamenta niewielkiej fortuny, która z czasem coraz bardziej zaokrąglać się miała.

Zresztą drobne ich operacye nie miały najmniejszego pozoru handlu. Członkowie rodzin panujących i ich sprzymierzeńcv, ludzie z Kadżagi, Kassonu, Futa-Toro, Ualo, przechodząc przez Bakel do Podor-Dagany, Saint-Louis, wiedzieli, że można znaleźć zawsze kieliszek tafii w wielkim szałasie białych; dla wvwdzięczenia się przeto za uprzejmość zostawiali zwykle przyjaciołom trochę piasku złotego, odłam zęba słoniowego, lub pięknv róg bawoli.

Oretes Toucas i Pylades Giliasse chowali to wszystko, a z końcem roku wyprawiali cztery lub pięć wielkich skrzyń do Europy, gdzie jakiś przyjaciel wymieniał ich zawartość na piękne nowe luidory.

Kiedy nakoniec zdecydowano się ich awansować, nie bez żalu tę stacyę opuszczali.

Toucasowi dano stopień pomocnika komisarza, Giliasse został lekarzem klasy drugiej. Na skutek prośby, aby ich nie rozdzielano, posłano ich na Mayottę, małą niezdrową wysepkę obok Madagaskaru, gdzie febry zjadliwe mają zwyczaj sprzątać urzędników.

Tu, według zwyczaju swego, zaczęli zbierać plecionki i jedwabie miejscowe, brali udział w przedsięwzięciach prywatnych, mających na celu dostarczenie bydła na wyspę Bourbon i nie skarżyli się wielce na zmianę pobytu.

Fortunę swoją uzupełnili w Saint-Pierre i Miquelonie, spekulując stokfiszem. Tak przyzwyczajono się do widzenia ich razem, że jednym rozkazem wysłano ich na Atlantyk północny.

Nakoniec na zakończenie karyery, bo chwila emerytury nie daleka już była, mianowano Toucasa pełniącym obowiązki komisarza i administratora w Gabonie, a Giliassa naczelnikiem służby zdrowia tamże.

Otóż w tym charakterze wsadzono ich na „Osę“, dla odwiezienia na miejsce przeznaczenia.

Legitymacya dwóch pozostałych pasażerów rządowych nie wymaga tylu szczegółów. Podporucznik Barthet był to młodzieniec pełen przyszłości, który ukończywszy świeżo szkołę w Saint-Cyr, ku wielkiemu zdziwieniu towarzyszów, wszedł do piechoty marynarki, nieco dla możności podróżowania, bardziej zaś dla ambicyi, awans bowiem był nader szybki w tej broni nieco podówczas zdyskredytowanej, która jednakże na dwudziestu polach bitwy przelewając krew z legendowem bohaterstwem dowiodła, że ojczyzna liczyć może na męstwo jej i poświęcenie.

Co się tyczy Urbana Guillois, to mocnoby go ten zdziwił przed trzema jeszcze miesiącami, ktoby mu powiedział, że pojedzie na brzegi Afryki. Licencyat nauk ścisłych w dwudziestym drugim roku życia, wszedł on do szkoły centralnej, kiedy zgon niespodziewany ojca pozostawił go samotnym i bez żadnych środków na bruku paryskim. Obdarzony silnym charakterem porzucił wszelkie marzenia o wielkościach i zdecydował się w ciągu doby. Nie czuł się zdolnym do pędzenia owego żywota nędzy i trafu, który wytwarza więcej próżniaków, niż pożytecznych ludzi, rozpoczyna się w piwiarni, a kończy w szpitalu. Obejrzał się wokoło siebie, szukając sposobu do życia. W tym czasie odbywały się w marynarce egzamina na posady w komisaryacie kolonialnym, stanął więc do nich, przyjęty został pierwszym i niebawem przeznaczony jako komisant do Gabonu, pod zwierzchnictwo Toucasa.

Oto cztery osobistości, których przygody zobaczymy na pokładzie „Osy“ w pustyniach Congo.

IV.

Na morzu. — Sztab „Osy“.

W godzin kilka po wyruszeniu, „Osa“ z należycie rozpiętym przednim i wielkim żaglem, płynęła tuż przy wybrzeżu Hiszpanii, pędzona gwałtownym północno-zachodnim wiatrem, który giął jej wykwintne omasztowanie, niepokojąc najdoświadczeńszych marynarzy. — Majtkowi służbowi, którym zapowiadająca się całodzienna pogoda obiecywała długie chwile spoczynku, oddawali się rozmaitym zajęciom. wedle upodobania. — Sternik Cabot, stary wilk morski, znający przejścia świata całego, a dziś kierujący „Osą“, rozmawiał spokojnie oparty o maszt przedni z Hilarym sierżantem załogi, a ktoby pochwycił kilka wyrazów z ich rozmowy, zrozumiałby, że niepojęta dla nich obecność pasażerów na pokładzie żywo ich niepokoiła.

— Nie dosyć dajesz żagli, panie Davis — rzekł nagle, wychodząc ze swej kajuty kapitan Le Noël do drugiego porucznika, chodzącego po tylnym pokładzie — każ spuścić log [1]), a zobaczysz, że nie dochodzimy do naszych dwunasteu węzłów; a jdnakże przy wietrze podobnym „Osa“ średnio je robić powinna.

— Dobrze, kapitanie — odpowiedział krótko oficer, i kazał rozpiąć żagiel u rei kwadratowej na przodzie.

— Czy sądzisz, że to wystarczy, panie Davis?

Młody człowiek ukłonił się i polecił natychmiast podnieść dwa żagle trójkątne i trzeci na maszcie przednim.

(C. d. n.).

[1]) Linę, służącą do mierzenia szybkości statku.

ARTUR CONAN-DOYLE.

Widmo przeszłości.

4 (Ciąg dalszy).

— Istotnie, nie mógł pan znaleźć na ten cel lepszego miejsca, — zauważyłem.

— Doprawdy? — zapytał generał.

— Mnie również wydaje się ta okolica nader spokojną i cichą. Sądzę, że można tu wędrować całą noc i nie spotkać żywej duszy. Jak pan sądzi?

— O tak, po zachodzie słońca niełatwo tu kogoś spotkać, odpowiedziałem.

— I nie niepokoją państwa żadne włóczęgi? Niema tu koczujących cyganów?

— Zaczyna być zimno, — przerywała tę rozmowę mistress Levis, otulając się ciepłą rotundą, a przytem zatrzymujemy mr. Westa.

— Tak, tak, masz słuszność, moja droga. Jedziemy. Do widzenia, mr. West.

Powóz potoczył się w stronę Cloomber, ja zaś zamyślony podążyłem do Wichtowne.

Wjeżdżałem właśnie w ulicę Wysoką, gdy Mac-Neyle wybiegł ze swego kantoru i poprosił, abym się zatrzymał.

— Pańscy nowi sąsiedzi wyjechali już stąd, — rzekł. — Dziś rano udali się do Cloomber-Hall.

— Spotkałem ich przed chwilą. — odpowiedziałem.

— Lubię mieć do czynienia z prawdziwymi gentlemanami, — rzekł śmiejąc się Mac-Neyle. — Oni mnie rozumieją, ja również ich pojmuję. — „Jaką cyfrą mam go wypełnić?“ — zapytał mię generał, wyjąwszy pusty czek z kieszeni i kładąc go na stole. „Liczbą dwustu funtów“, — odparłem, pragnąc, aby i mnie dostało się coś za stratę czasu i fatygę. Generał napisał czek, i rzucił mi go, jak gdyby była to stara, niepotrzebna koperta. No, i co pan powie o generale, mr. West?

— Zbyt mało go znam, by wyrobić sobie o nim zdanie.

Mac-Neyle postukał znacząco w czoło.

— Oto, co ja o nim myślę, — rzekł tajemniczym głosem. — On jest niespełna rozumu, jestem tego pewien. — A jak pan sądzi, mr. West, jakiby można przytoczyć na to dowód?

— No, naturalnie, zamiar zaofiarowania niewypełnionego czeku administratorowi zamku.

— Pan sobie żartuje. Ale mówiąc tak między nami, przyznaj pan, że jeśli ktoś wypytuje, jak daleko jest z Cloomber do najbliższego fortu, czy przybijają tam okręty ze Wschodu, czy dużo jest włóczęgów w okolicy i czy można wybudować wysoką ścianę z desek dokoła parku, to trudno powziąć o nim inne zdanie.

Nie mając chęci dłużej z nim rozmawiać, pożegnałem się i pojechałem dalej.

Wkrótce przekonaliśmy się, że co do zamiaru generała odgrodzenia się od całego świata, Mac-Neyle był dobrze powiadomiony: całe oddziały robotników od rana do wieczora wznosiły wysoką drewnianą ścianę dokoła siedziby generała.

A co dziwniejsze jeszcze, gromadził on w swoim domu olbrzymie zapasy żywności, jakby spodziewał się oblężenia. Bichbey. właściciel największego sklepu kolonialnego, zdumiony i zachwycony, opowiadał mi, że generał zamówił u niego kilkaset tuzinów najrozmaitszych konserwów z mięsa i jarzyn.

Wszystko to wywołało tysiące rozmaitych zdań i plotek, od których wrzała cała okolica; generał zaś i jego rodzina prowadzili ciche i samotne życie, zupełnie nie oglądając się na to, cokolwiek mógł ktoś o nich powiedzieć.

Pewnego dnia mój ojciec wszedł do pokoju jadalnego i rzekł do nas tonem zdecydowanym:

— Włóż swą różową suknię, Estero, a i ty John ubierz się w wizytowe ubranie. Pojedziemy odwiedzić mistress Levis i generała.

— Pojedziemy do Cloomber? — zapytała Estera, klaszcząc w dłonie.

— Jestem, — z godnością powiedział mój ojciec, — nietylko zarządzającym majątkiem lorda, ale również jego krewnym. Sądzę, że postąpię w jego myśl, składając wizytę nowym mieszkańcom Cloomber'u i ofiarowując im swoje usługi. Muszą się czuć osamotnieni i pozbawieni przyjaciół.

Wkrótce zajechał powóz i ruszyliśmy ku Cloomber; jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy dojechawszy do bramy Cloomber-Hall, ujrzeliśmy na najwidoczniejszem miejscu wysoko zawieszoną deskę z następującym napisem:

„Generał i mistress Levis nie pragną powiększać grona swych znajomych“.

Kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu, ze zdumieniem przypatrując się oryginalnemu napisowi. Wreszcie Estera i ja wybuchnęliśmy niepowstrzymanym śmiechem; ojciec jednak zacisnął usta, co było u niego niezawodną oznaką złego humoru i gwałtownie zawrócił ku domowi. Byłem pewny, że dręczyła go myśl, iż wyrządzono zniewagę lordowi Brinksome, którego był przedstawicielem.

IV.

Młodzieniec z siwą głową.

Nazajutrz po tem dziwnem zajściu, wypadło mi przechodzić przed bramą Cloomber'u i przystanąłem, by popatrzeć na niezwykły napis. Nagle zjawiła się przede mną śliczna dziewczynka i ręką dała mi znak, abym podszedł bliżej.

— Mr. West, — szepnęła, oglądając się ze strachem, — pragnęłabym przeprosić państwa za nieprzyjemność, na jaką zostaliście wczoraj narażeni. Mój brat widział wszystko i zapewniam pana, że jakkolwiek nic na to nie mogliśmy poradzić, było nam jednak niezmiernie przykro.

— O, miss Levis, — powiedziałem, starając się całą rzecz w żart obrócić. Wielka Brytania jest krajem wolności i jeśli ktoś życzy sobie tego, ma wszelkie prawo uprzedzić ewentualnych gości, aby się mu nie naprzykrzali.

— A jednak, jest to grubiaństwem; gdy pomyślę, że pańska siostra została również obrażona, pragnęłabym zapaść się pod ziemię.

— Nie martw się pani, — rzekłem gorąco. — Jestem pewny, że ojciec pani ma poważne, chociaż nieznane nam przyczyny, skłaniające go do postępowania w ten sposób.

— O tak, Bóg świadkiem, — odpowiedziaał z niewypowiedzianym smutkiem.

W tej chwili z poza drzew ukazał się młody człowiek; gdy stanął obok nas, miss Levis odezwała się:

— Mordownt, w swojem i twojem imieniu przepraszam mr. Westa, za to, co się stało wczoraj.

— Cieszy mię bardzo, iż mogę to uczynić osobiście, — rzekł uprzejmie młodzieniec. — Pragnąłbym również siostrę i ojca zapewnić, jak bardzo zajście to było mi niemiłe. Idź do domu, Gabryelo, zaraz podają herbatę. Niech pan nie odchodzi, mr. West, mam panu kilka słów do powiedzenia.

Miss Levis pożegnała mię uśmiechem i wkrótce zniknęła w głębi parku; brat jej zaś otworzył ostrożnie bramę, wyszedł do mnie i znowuż starannie ją zamknął.

— Jeżeli pan nic niema przeciwko temu, z chęcią pana odprowadzę, — rzekł do mnie.

— Bardzo proszę, sprawi mi to prawdziwą przyjemność.

— Muszę panu powiedzieć, że ojciec mój był bardzo niezadowolony, gdyby się dowiedział, że wyszedłem poza bramę naszej siedziby. Postanowił on, że nie powinniśmy nikogo widywać... Dziwna to fantazya, bo każdy przecież takby to nazwał... Ja jednak wierzę, że istnieją poważne przyczyny, dla których ojciec mój musi w ten sposób postępować.

— A czyż nie mógłby pan od czasu do czasu wychodzić, aby porozmawiać ze mną? Widzi pan ten dom? — to Brinksome.

— Naturalnie, pragnąłbym bardzo odwiedzać państwa od czasu do czasu.

— A siostra pańska? Ona chyba jeszcze bardziej odczuwa brak towarzystwa, — wyrwało mi się mimowoli.

— O tak, biedna Gabryela, bardzo cierpi nad tem; jeszcze mniej naturalnem wszakże jest, by młody człowiek w moim wieku był trzymany, jak w wiezieniu. Spójrz pan na mnie: w marcu skończyłem lat dwadzieścia trzy, a dotychczas noga moja nie postała ani w uniwersytecie, ani też w żadnym innym zakładzie naukowym; jestem zupełnym ignorantem. Może to panu wydać się dziwne, a jednak to szczera prawda. Czyż nie zasługuję na lepszy los?

— Jedne wiadomości otrzymuje się z książek, inne z doświadczenia — rzekłem. — Trudno mi wierzyć, aby życie pana upłynęło w bezczynności i w przyjemnościach.

— W przyjemnościach!—zawołał,— a zdejmując kapelusz dodał: — popatrz pan! jak pan sądzi, czy te siwe włosy zjawiły się skutkiem przyjemności?

Istotnie młody człowiek miał włosy gęsto przyprószone siwizną.

— Musiał pan przejść jakieś silne wstrząśnienia, — rzekłem doń, — lub też jakąś straszną chorobę w dzieciństwie. Znałem również młodych ludzi z takimi samymi siwymi włosami. Jeśli się uda, dodałem zmieniając temat, zajrzyj pan od czasu do czasu do Brinksome, a może i siostra pana będzie mogła nas odwiedzić.

— Trudno nam będzie wyjść razem, jednak postaram się urządzić, to wtedy, gdy ojciec nasz wypoczywa popołudniu. Ale muszę już wracać, — dodał,— złożywszy najserdeczniejsze podziękowanie za współczucie i sympatyę, jakie nam pan okazał; siostra moja również będzie głęboko wzruszona pańskiem uprzejmem zaproszeniem.

Podaliśmy sobie ręce i Mordownt poszedł ku Cloomber-Hall, po chwili jednak zawrócił, a zbliżywszy się do mnie rzekł:

— Prawdopodobnie patrzysz pan na ten dom, jak na prywatny przytułek dla umysłowo chorych; nie mogę na pana za to się gniewać. Zajęły pana, rzecz prosta, nasze dziwactwa, ja zaś nie postąpiłbym po przyjacielsku, gdybym nie zadowolnił pańskiej, łatwo zrozumiałej, ciekawości. Przyrzekłem jednak ojcu najgłębszą tajemnicę, a chociażbym nawet opowiedział panu wszystko, co wiem, wątpię, abyś zrozumiał mię w zupełności. Chciej pan jednak wierzyć, że ojciec mój jest również zdrów, jak pan lub ja, oraz, że ma poważne przyczyny prowadzenia życia tak bardzo odosobnionego. Mogę dodać jeszcze, że nie powoduje nim nic, coby przynosiło mu ujmę, przeciwnie, wymaga tego tylko instynkt samozachowawczy.

— To znaczy, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo? — zapytałem.

— Tak, grozi mu ciągle i straszne niebezpieczeństwo.

— Czemuż jednak nie zwróci się o pomoc do władz sądowych? Jeśli boi się kogoś, wystarczy, aby wymienił nazwisko, a sprawiedliwość znajdzie środki pokrzyżowania jego wrogich zamiarów.

— Drogi panie West, — odparł młody Levis, — niebezpieczeństwa, które grozi mojemu ojcu, nie zdoła odwrócić żadna siła ludzka, a jednak jest ono całkiem realne i być może, nieuniknione.

— Nie chcesz pan chyba powiedzieć, że ma charakter nadnaturalny? zauważyłem z niedowierzaniem.

— Kto wie? — odpowiedział młodzieniec z głębokim smutkiem. — Powiedziałem więcej, aniżeli miałem prawo. Do miłego widzenia.

Zawrócił i wkrótce straciłem go z oczu.

Powracając do domu, zastanawiałem się nad tem, co usłyszałem. Dotychczas uważałem Levisów za ludzi niezmiernie ekscentrycznych; po wyjaśnieniu Mordownta wszakże nie mogłem już wątpić, że całe ich postępowanie ma jakieś tajemnicze, złowróżebne znaczenie. Im więcej zastanawiałem się nad tą zagadką, tem wydawała mi się trudniejszą do rozwiązania.

V.

Młodzi Levisowie stają się naszymi przyjaciółmi.

Tajemnica, otaczająca Cloomber, oraz niepojęte oczekiwanie różnych niebezpieczeństw przez jego mieszkańców z każdym dniem więcej pochłaniały wszystkie moje myśli. Ustawicznie prawie rozmyślałem nad tem nierozwiązalnem zagadnieniem, napróżno usiłując znaleść jakiekolwiek wyjście, lub myśl wytyczną.

Pewnego dnia wieczorem, Estera wyszła odwiedzić chorego dzierżawcę.

— John, — rzekła do mnie, powróciwszy do domu, — czyś widział kiedy Cloomber-Hall w nocy?

— Nie, — odpowiedziałem, — nie widziałem go od tego pamiętnego dnia, w którym generał z Mac-Neylem oglądali zamek.

— A więc włóż kapelusz i chodźmy się przejść.

Widocznem było, że coś ją wzruszyło, lub zaniepokoiło.

— Co się stało? — zawołałem. — Czyżby się
Czyżby się tam paliło? — Masz taką minę, jakby całe Wichtowne stało w płomieniach.

— O nie, tak źle nie jest, — odparła z uśmiechem, — ale chodźmy, John, chciałabym abyś sam zobaczył.

Nie mówiłem Esterze nic takiego, coby mogło ją przestraszyć, nie wiedziała więc do jakiego stopnia interesuje mię życie naszych sąsiadów. Włożyłem na jej życzenie kapelusz i wyszliśmy z domu. Poprowadziła mię po wązkiej ścieżce i wkrótce weszliśmy na wysoki pagórek, z którego widać było Cloomber, jak na dłoni.

— Patrz! — rzekła Estera, wskazując zamek.

Pod nami rozpościerała się siedziba generała Levisa w powodzi światła. Ze wszystkich okien, nawet pod dachem, słały się snopy jasnych promieni. Cały dom był tak mocno oświetlony, że w pierwszej chwili myślałem, że się pali; spokojne i równe światło wszakże przekonało mię, że obawy moje były płonne. Musiało się wewnątrz palić mnóstwo lamp, tak, iż każdy pokój, sień, tonęły w ogniu.

Iluminacya ta była tem dziwniejsza, że w wielu pokojach nikt nie mieszkał, w niektórych zaś nie było nawet sprzętów.

Stałem tak zdumiony, gdy nagle usłyszałem cichy płacz siostry.

— Co ci jest, kochana Estero? — zapytałem, zwracając się ku niej.

— Tak mi straszno czegoś. Chodźmy prędzej do domu! Straszno mi tutaj...

Schwyciła mnie za rękę i przytuliła się do mego ramienia cała drżąca.

— Ależ, moja maleńka, — rzekłem uspakajająco, — czegoż się tu obawia? Co cię tak wystraszyło?

— Boję się ich, boję się Levisów. Czemu co noc dom swój oświetlają tak rzęsiście. I czemu stary generał ucieka, jak spłoszony zając, gdy kogo spotka? Wszystko to takie dziwne, tak mię przestrasza.

Starałem się uspokoić Esterę, jak umiałem, poczem wróciliśmy do domu. Nie zaczynałem z nią już później rozmowy o Levisach, obawiając się wzruszenia dla małej siostrzyczki, ona zaś sama również nie wspominała nigdy ani słowem o tajemniczym zamku. To wszakże, co mówiła owego wieczoru, przekonało mię, że już od dłuższego czasu musiała obserwować życie mieszkańców Cloomberu i że domysły, niepokój i trwoga zdenerwowały ją do najwyższego stopnia.

Później okazało się, że myliłem się w tym względzie: w rzeczywistości siostra moja miała poważniejsze nawet niż ja przyczyny do przypuszczenia, że w Cloomber dzieje się coś dziwnego i strasznego.

Z początku zajmowaliśmy się sprawami rodziny Levisów poprostu przez ciekawość, wkrótce jednak szybko następujące po sobie wypadki związały nas ściśle z jej tragicznymi losami.

(C. d. n.)

* * *
*

HUMOR i SATYRA.

Pies Izaka Kohna

w świetle pism lwowskich.

„Gazeta Lwowska“ (urzędowa) donosi: Wczoraj wieczorem na placu Gołuchowskich pokąsał pies p. Izaka Kohna, włościanina Andrzeja Grzędę. Na policyi spisano protokół w tej sprawie, a Towarzystwo ratunkowe zaopatrzyło lekkie rany Grzędy, który pieszo wrócił do domu.

„Wiek Nowy“ (dziennik popularny): Dzisiejsza ilustracya tytułowa przedstawia chwilę, gdy pies Izaka Kohna (zdaje się wściekły!) rzucił się na włościanina Grzędę. Bliższe szczegóły zawarte są w naszym artykule wstępnym.

„Gazeta Wieczorna“ (organ demokratyczny): Dowiedziawszy się o pokąsaniu włościanina Grzędy przez psa p. Izaka Kohna, udała się nasza współpracowniczka I. K. do mieszkania tego ostatniego, aby drogą wywiadu zasięgnąć bliższych informacyj. Salonik, do którego wprowadzono naszą współpracownicżkę, to istna bombonierka. Meble mahoniowe, żółte, jedwabne, różowe etc.

„Kuryer Lwowski“ (organ ludowców): Biedny kmiotek Andrzej Grzęda wybrał się z Psiej Wólki do Lwowa, aby tu sprzedać kilkadziesiąt kilogramów jabłek, te, w pocie czoła i krwawicą swoją zdobyte owoce. W chwili, gdy mu za nie ofiarowano marnych kilka tysięcy koron, pies niejakiego Kohna i t. d.

„Słowo Polskie“ (organ nar.-dem.): Żydzi coraz bardziej hulają po Lwowie. Wczoraj na placu Gołuchowskich pies paskarza Izaka Kohna (żyda) pokąsał dotkliwie włościanina Andrzeja Grzędę (katolika!). Ciężko rannego Grzędę odwieziono w stanie nieprzytomnym do szpitala. Jest mała nadzieja utrzymania Grzędy przy życiu. Coby to było krzyku wśród żydów, gdyby się tak było stało odwrotnie?!

„Trybuna Polska“ (dziennik brukowy): Neutralny Izak Kohn potrzebował sobie spacerować po placu Gołuchowskich. Spotkawszy włościanina Grzędę i poczuwszy w nim „goja“, poszczuł swego neutralnego psa na nieneutralnego chłopa, któremu pies zadał kilkaset ran i odgryzł obie nogi. Widocznie chciał Kohn wywołać pogrom gojów, ale dzięki zimnej krwi naszej publiczności i t. d.

„Dziennik Ludowy“ (organ socyal.): Wczoraj pokąsał jakiś pies włościanina Grzędę. Dowiadujemy się z pewnego źródła, że Grzęda od początku zwalczał strajk rolny. Poczciwe pisisko odczuło to swym instynktem zwierzęcym i t. d.

„Chwila“ (organ syonistów): Gdy znany i ogólnie szanowany kupiec tutejszy p. Izak Kohn przechadzał się ze swym pieskiem po placu Gołuchowskich, nie spodobało się to przechodzącemu obok włościaninowi Grzędzie. Począł droczyć pieska, który w słusznem oburzeniu chciał ukąsić prowokatora, ale nic mu nie uczynił. Grzęda pokazywał na policyi dawno zabliźnione rany na nodze twierdząc, że mu je zadał pies p. Kohna. Przeciw Grzędzie wnosi p. Kohn skargę o oszczerstwo, gdyż stwierdzono, że jego pies wogóle zębów nie posiada!

Zygmunt Mar-Majewski.

Echa uroczystości krakowskich.

Podczas krakowskich uroczystości na cześć Naczelnika zdarzył się następujący wesoły epizod:

Pod koniec obiadu, wydanego przez konsula Buszczyńskiego, jeden z kapitanów, zabierając z kolei głos, zaznaczył, że przemówi parę słów, po których jednak ani muzyka nie będzie grała, ani też nie rozlegną się żadne okrzyki. W przemówieniu swojem mowca złożył hołd poległym. Nastąpiła chwila ciszy. Nagle z końca stołu podniósł się jeden z uczestników, prawdopodobnie ujęty silniej tradycyjną polską gościnnością i oświadczył: „Imieniem poległych dziękuję“.

Obojętność.

Było to przed kilkudziesięcioma laty. W pewnem miasteczku zaaresztowano jakiegoś pieszego podróżnika i odstawiono do sądu na zasadzie zgodności rysów jego twarzy z rysopisem zbrodniarza, poszukiwanego przez listy gończe.

Gdy w sądzie przy badaniu zupełnie zaprzeczał i czynionym mu zarzutom i tożsamości osoby, — prowadzący protokół, kazał odliczeniem porządnej porcyi plag przyspieszyć przyznanie podejrzanego.

Po otrzymaniu środka dosyć dotkliwego, zbity wstał najspokojniej i uśmiechając się, rzekł do siebie:

— To dopiero złość ich będzie brała, jak się przekonają, że nie jestem tym, którego szukają, i że mnie naprózno oćwiczyli.

* * *

W restauracyi.

— Proszę dla mnie pieczeń!

— Ze sosem pomidorowym, czy szczypiórkowym?

— Bez sosu!

— Czy bez pomidorowego, czy bez szczypiórkowego?...

* * *

6 i 9.

— Wi hajst? Dziewięć procentów ty chcesz odemnie? Odemnie, co potrzebuje być twój brat, ty chcesz dziewięć procentów? I tobie nie wstyd? Herst! Un chce dziewięć procent!

— Sza, sza! Czego ty krzyczysz, Icyk? Czy dziewięć procentów, to jest dwadzieścia, albo trzydzieści, albo czterdzieści procentów? Nie! Dziewięć procent to jest dziewięć procent i mniej nie wezmę.

— Szmule leben! Gdzie ty masz sumienie? Co na to powie Pan Bóg?

— Nic złego nie powie. Pan Bóg będzie powiedział: Szmule leben jest porządny człowiek, on pożycza na sześć procentów.

— No, tak na sześć, ale nie na dziewięć!

— Icyk, jaki ty głupi! Czy ty nie wiesz, że z góry wszystko widzi się odwrotnie? Ja napiszę: 9, a Pan Bóg czytać będzie 6!

* * *

Oświadczyny cyklisty.

Wodzisz, luba, wzrokiem pięknie,
Aż mnie dreszcz przenika —
Jeśli kłamię, niechaj pęknie
Moja pneumatyka!

Twoje usta — róż kielichy,
Ach, kocham je szczerze —
Jeśli kłamię, niech mi szprychy
Pękną przy rowerze!

Twoje oczy — to dwie świece
Bez żadnych omamień —
Jeśli kłamię, niech polecę
Z roweru na kamień!

Chwalić piękność twą, dziewczyno,
Słów mi braknie w mowie —
Jeśli kłamię, niech z maszyną
Unurzam się w rowie.

Zakochany jestem srodze,
Widząc twe powaby —
Jeśli kłamię, niech na drodze
Przejadę... dwie baby!

Fortunio.

Redaktor odpowiedzialny: Marya Jadwiga Migowa. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Życie i Powieść".
Drukarnia „Głosu Narodu" w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.